TYGODNIK KOBIETY





Nr. 5.
24 listopada
1935 r.

CENA
50 GR.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem



1.



2.



3.



4.

Opis na str. 14-ej.

TYGODNIK KOBIETY

Redaktorka naczelna: WANDA DOBRZAŃSKA. Wydawca: JANINA KULIGOWSKA.
REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Okólnik Nr. 11-a, tel. 666-35. KONTO P.K.O. 13.191.
Naczelna redaktorka przyjmuje we wtorki i czwartki od 11-ej do 13-ej. Sekretarjat redakcji czynny codziennie od 11-ej do 14-ej.

Rok I Nr. 5. 24 listopada 1935 r.

PRAWA KOBIET W NOWYCH KONSTYTUCJACH

Walka o prawa polityczne kobiet nie jest jeszcze zakończona.

Wprawdzie nastroje okresu powojennego sprzyjały żądaniom przedstawicielek ruchu kobiecego, jednak w ostatnich latach coraz częściej obserwujemy wzrost reakcji antyfeministycznej. Na zjawisko to wpływa szereg przyczyn — w pierwszym rzędzie — brak stałości warunków politycznych, militaryzacja państw Europy powojennej, wszechświatowy kryzys gospodarczy, ogólne osłabienie sumienia demokratycznego. W niektórych krajach reakcja antyfeministyczna wyraża się w tendencji ograniczania praw kobiet do pracy zarobkowej, w innych — np. w Niemczech i Austrji — doprowadziła nawet do cofnięcia praw obywatelskich, przyznanych kobietom przed paru laty.

Z przeglądu tekstów nowych konstytucyj wynika, że w dobie obecnej tylko 31 państw nadało kobietom pełne prawa polityczne. Z pozostałych — 31 — nie sprecyzowało wyraźnie swojego stanowiska w ustawie konstytucyjnej, wskutek czego niejasne artykuły są interpretowane na niekorzyść kobiet. Wreszcie 12 państw posiada dotąd teksty „przełomowe". To znaczy — żądania kobiet zostały w nich uwzględnione tylko w formie ułamkowej, np. pozwolono kobietom głosować do rad miejskich, nie dając im jednocześnie praw wybieralności, albo też postawiono im obostrzone wymagania w zakresie cenzusu wyborczego i t. d.

Te teksty „przełomowe" będą przedstawiały w przyszłości materjał szczególnie interesujący dla badaczy socjologji, lub historji. Wykazują one, jak powolną jest droga postępu i jakie mocne opory stawiają przesądy.

Najjaskrawszą wymowę mają teksty o tendencji wyraźnie kompromisowej. Dążenie do pogodzenia 2 sprzecznych ze sobą ideologji w rezultacie daje wyniki czasami wprost niezrozumiałe.

Weźmy naprzykład belgijską ustawę z r. 1919 — nadaje ona prawo głosu do parlamentu na jednakowych warunkach z mężczyznami wdowom po wojskowych, poległych w czasie w. wojny. W wypadku powtórnego wyjścia zamąż, albo też w wypadku ich śmierci — prawo głosu przechodzi na matki poległych wojskowych, jednak z tem zastrzeżeinem, że i one są wdowami. Doprawdy trudno zrozumieć motywy tego zastrzeżenia. Bo wysuwany często argument, jakoby głosowanie kobiet mogło wprowadzać tarcia i niesnaski wyborcze do rodziny, nie jest brany pod uwagę w następnym punkcie ustawy, obdarzającym prawem głosu wszystkie zasłużone patrjotki belgijskie bez względu na ich stan cywilny.

Inne ustawy belgijskie cechuje również wahanie i brak zdecydowanie życzliwej postawy względem słusznych żądań kobiecych.

Wśród szeregu ograniczeń w prawie wybieralności belgijek do rad miejskich w pierwszym rzędzie obowiązuje zakaz równoczesnego pełnienia funkcyj radnych przez męża i żonę. Jeśli wypadkowo zostaną wybrani oboje, w Radzie pozostaje ta strona, która osiągnęła wyższą liczbę głosów. Przy równej ilości głosów decyduje prawo starszeństwa. Ten punkt wyraźnie sprzyja mężczyznom, wobec faktu, że w małżeństwie mąż jest zwykle starszy od żony.

Jeszcze dalej idące zastrzeżenia są wysunięte w zakresie prawa kobiet do pełnienia funkcyj burmistrza, ławnika, sekretarza, poborcy gminnego. Stanowiska te mogą obejmować mężatki tylko za pozwoleniem męża. Ponadto — w wypadku powierzenia kobiecie urzędu burmistrza — straż pomocniczą przy Prokuratorze Króla i funkcje urzędnika Ministerstwa Publicznego przy trybunale policyjnym mają być obowiązkowo wykonywane przez ławnika płci męskiej, mianowanego dekretem królewskim na wniosek burmistrza.

Jak widzimy, w Belgji ustawodawcy z trudem godzą się z uznaniem samodzielności kobiecej!

W Portugalji dopiero w r. 1933 zrobiono pierwszy wyłom na rzecz praw obywatelskich kobiet. Wydana w tym roku ordynacja przyznała prawo głosu do rad parafjalnych „głowom rodzin". Pod pojęcie to podciągnięto nietylko ojców, ale i matki-wdowy, kobiety rozwiedzione, lub separowane, panny o pewnym cenzusie wieku — jednak pod jednym warunkiem, oto, że posiadają one nieposzlakowaną opinję. Warunek stuprocentowo słuszny, tylko czemu nie zastosowano go i do mężczyzn?

Podobne żądania wysunięto także w Rumunji. Prawa bierne i czynne do rad miejskich i departamentalnych przysługują tam różnym kategorjom kobiet. Między innemi — kobietom, które w chwili ogłoszenia ustawy stały na czele stowarzyszeń opiekuńczych i wychowawczych i są uznane za osoby moralne. Niestety nie jest wyjaśnione, kto zatwierdza oficjalnie moralność tych kobiet?

Na Węgrzech stosowany jest różny cenzus wyborczy dla mężczyzn i kobiet. Kobiety obowiązuje wyższa skala lat i wyższy stopień wykształcenia. Te obostrzenia przestają działać — w zakresie cenzusu wieku — w wypadku ukończenia wyższych studjów, w zakresie cenzusu wykształcenia — w wypadku posiadania 3 dzieci żyjących, albo utrzymywania się z własnych dochodów, lub z pracy zarobkowej.

Rzadki wypadek uprzywilejowania kobiety zamężnej notujemy w Peru. Nowa konstytucja z r. 1933 przyznaje prawo udziału w wyborach samorządowych kobietom pełnoletnim, oraz mężatkom, byłym mężatkom, wdowom, matkom, nawet przed ich dojściem do prawnej pełnoletnności. Zjawisko forytowania mężatek jest tem ciekawsze, że powszechnie mężatka zwyczajowo i prawnie nie jest uważana dotychczas za jednostkę samodzielną.

Zestawienie praw kobiet w nowych konstytucjach wykazuje, że kobiety nie weszły jeszcze masowo i powszechnie do życia publicznego.

Dlaczego na całym świecie kobiety walczą o prawo polityczne? Jakie są skutki ze stosowania w życiu zasady równości płci? — zapytają nasze czytelniczki, zwłaszcza te, które niechętnie się odnoszą do spraw politycznych. Les absents ont toujours tort — mówi przysłowie francuskie. Istotnie bez udziału w życiu politycznem, ustawodawczem nie można osiągnąć poprawy położenia społecznego, prawnego i ekonomicznego. Ale to niezmiernie dla świata kobiecego ważne zagadnienie nie wyczerpuje całości pobudek, które zmuszają kobiety do walki o prawa polityczne. Poczuwają się one do odpowiedzialności nietylko za swój los, ale i za los swego otoczenia. Chcą pracować dla dobra swoich rodzin, swego społeczeństwa, swego państwa. Przewódczynie ruchu kobiecego wierzą głęboko, że tylko sharmonizowany wysiłek obu płci może ludzkość doprowadzić do lepszego jutra.

Ruch kobiecy jest cząstką ruchu społecznego. Występuje on przeciwko przemocy i uciskowi jednych nad drugimi, przeciwko pogłębianiu i utrwalaniu antagonizmów obu płci. Domaga się sprawiedliwości społecznej, prawa udziału kobiet w tworzeniu i organizowaniu obowiązujących form życia.

Słuszność tych żądań jest niezaprzeczalna. To też w pracy nie ustaniemy, aż do chwili całkowitego zwycięstwa naszych programowych haseł.

Halina Siemieńska.

NIE PODRZUCĘ...

Pisma codzienne przynoszą bardzo często wiadomości o podrzuconych i znalezionych niemowlętach. Fakty te wywołują zrozumiałe oburzenie, a dzieciom osieroconym w ten sposób towarzyszy ogólne współczucie.

Matkę podrzucającą uważa się za istotę pozbawioną nietylko instynktu macierzyńskiego, ale za wyzutą ze wszystkich uczuć humanitarnych.

A tymczasem, w istocie rzeczy, głównym motorem podrzucania jest rozpacz, bezradność życiowa i skrajna nędza. Uwiedziona dziewczyna, prześladowana często z tego tytułu przez rodzinę, porzucona żona, bezrobotna wdowa lub rozwódka, — to element, z którego właśnie rekrutują się podrzucające matki. Do decydującego kroku popycha je potworne widmo głodu. Może instynkt samozachowawczy, często o wiele mocniejszy od poczucia macierzyńskiego? Czyn swój opłaca często tęsknotą całego życia. Kobietę przychwyconą czasem na gorącym uczynku „podrzucania", prowadzą do więzienia. Kodeks karny brzmi pod tym względem twardo i nieustępliwie.

Toteż bezradne, porzucone nieruchome maleństwo — niemowlę, podlega opiece obowiązującego prawa.

Ale co ma robić kobieta pozbawiona dachu nad głową, pracy i opieki, głodna i zabiedzona, obarczona dzieckiem, któremu nic nie może dać, prócz własnej rozpaczy? Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że powinna znaleźć wtedy należytą pomoc i opiekę. Ale, niestety, pomiędzy „powinna" a „może" leży często przepaść nie do przebycia.

I czasem tylko się zdarza, że trafi taka skołatana kobieta do cichej przystani, gdzie życie układa się jej w równe, proste, spokojne dnie, do „domu matki i dziecka", prowadzonego przez Z.P.O.K. na peryferjach stolicy. Przez oparkaniony ogródek i lipową aleję wchodzi się do starego, ubogiego domu. Zniszczone drzwi, okna i podłogi, utrzymane są we wzorowej czystości. Skromna kuchnia, pralnia, stołownia, dwie duże, czyste sypialnie matek na górze. Miejsc 22. A kandydatek, skierowanych przez Wydział Opieki lub Zarząd Główny Z.P.O.K. o wiele, wiele więcej!

Każda kobieta, która pragnie wychować swe dziecko, każda, bez względu na stan cywilny, wykształcenie i stopień kultury, ma wstęp do tego domu.

Najpierw przez ściśle określony czas pobyt razem z dzieckiem „w izolacji", gdzie przeprowadzone są badania lekarskie, szczepienia, zabiegi, bo tylko zupełnie zdrowe matki mogą pozostawać w zakładzie.

Po otrzymaniu zaświadczenia — zobowiązanie: całoroczna praca w „Domu Matki i Dziecka", za całkowite



Dziećmi w żłobku opiekuje się pielęgniarka przy pomocy dyżurnej matki...

mieszkanie z utrzymaniem, mieszkanie i wychowanie dziecka. Wtedy matka przenosi się z izolacji do sypialni i na teren pracy, dziecko idzie do żłobka.

Płyną spokojne, równe, pracowite dnie. Nerwy dochodzą do równowagi, niema obawy nietylko o dziś, ale nawet o dalekie jutro. Pracuje się, na przydzielonym przez przełożoną, odcinku, według ściśle ułożonego planu. Uprawa ogródka, gotowanie, pranie, sprzątanie, szycie, pilnowanie dzieci, — wszystko spełniane jest cicho i sprawnie przez matki. Dziećmi, w żłobku, opiekuje się pielęgniarka, przy pomocy dyżurnej matki. W nocy wszyscy śpią. Jedna tylko dyżurna czuwa nad wszystkiemi.

Zasadą tego, wysoce humanitarnie pomyślanego domu, jest samowystarczalność. Skromną pościel można uzupełnić własną, jeśli się ją posiada. Na własne, biedne suknie, kładzie się bardzo wyłatane, płócienne fartuchy, na głowy — czyste chustki. Prosto, ubogo, schludnie, bardzo cicho. Tak cicho, że odnosi się wrażenie, że jakieś dobre ręce położyły się miękko na zmęczonych oczach. I cicho krzątają się kobiety spokojne i uśmiechnięte. Ubogie, uwiedzione dziewczęta, robotnice, studentki, artystki, żony zawodowców. Kulturalne i nieokrzesane. Wykształcone i analfabetki. Zacierają się różnice, jednoczy je wszystkie pragnienie wychowanie własnego dziecka — własnemi siłami.

Bo żadnego „jego" niema w tym rocznym okresie życia przy żadnej z nich. Opuszczone, zawiedzione, pokrzywdzone są wszystkie. Zarząd pośredniczy w ich sprawach osobistych, stara się pogodzić zwaśnione stadła, walczy o alimenty. Ale nadewszystko — wyszukuje pracę. Żadna z pensjonarjuszek nie wychodzi po roku pobytu, na ulicę. Nie. Idzie do pracy. Jeżeli nie może zabrać dziecka, pozostawia je na rok jeszcze w żłobku.

Ach, stąd, oczywiście, ten spokój, który płynie od tych cichych i tak ubogich postaci. Stąd ta pogoda, z jaką spełniają najprostsze prace, słuchają, szyjąc, lektury, oprawiają książki, uczą się robót, słuchają pogadanek i przygotowują się do drobnych, a tak radosnych uroczystości. Pracy ich i pogody nie mącą krzyki dzieci. Nie słychać ich zupełnie. Wychowywane pod fachową opieką, nowocześnie, higjenicznie, zdrowotnie, mają wszystko, jak królewięta. Jasno, sucho, czysto, dostatnio. Poco więc piszczeć? Nikt ich nie niańczy, nie drażni, nie nosi w poduszkach. Leżą nowocześnie, w białych łóżeczkach, tłuste, rumiane, syte. Odgłosy zaczynają się jedynie w godzinach karmienia. Wtedy ustają prace. Matki, umyte, karmią, dokarmiają, cieszą się czasem spędzonym wspólnie z własnem dzieckiem. Potem znów praca i znów karmienie.



Wychowywane nowocześnie, higjenicznie mają wszystko.

Płyną równe dnie i miesiące. Zmieniają się pory roku. Dziecko rośnie, rozwija się. Pierwsze nieartykułowane dźwięki, pierwsze ząbki i pierwsze, jak balsam, jak najdroższa nagroda, pierwsze: „mama".

Kończy się rok pobytu, rok trudu dla dziecka, rok, dzień po dniu spełnionego sumiennie obowiązku. Zamknie się wkrótce za wychodzącą drewniana furtka w opłotku. Matka zacznie pracować zarobkowo, ale nawet w znoju i trudzie wesprze ją świadomość rzetelnie spełnionego obowiązku. Nie podrzuciła! Czekają ją słodkie usta własnego dziecka i jego ramionka, zarzucone dokoła szyi.

Marja Dobrowolska.



Płyną spokojne, równe, pracowite dnie.....

Ś. P. Janina Łada-Walicka

W dniu 13 b. m. zmarła skutkiem tragicznego wypadku Ś. p. Janina Łada-Walicka, znana w szerokich kołach stolicy dziennikarka i współpracowniczka naszego pisma. Urodzona na północnych kresach Polski, ukończyła studja w Rydze, poczem, osiadłszy we Lwowie, redagowała „Świat Kobiecy" zasilając artykułami szereg innych czasopism.

Podczas obrony Lwowa, spełniała z nieustraszonem męstwem swój obywatelski obowiązek, przyjmując bezpośredni udział w potyczkach na ulicach miasta.

Przeniósłszy się do Warszawy, pracowała nadal na niwie dziennikarskiej.

W ciężkich chwilach inwazji bolszewickiej stanęła znów w szeregach kobiet-żołnierzy, w szwadronie rotmistrza Abrahama.

Przed kilkunastu dniami uległa silnemu poparzeniu wrzącą wodą. Nie pomogły energiczne zabiegi lekarskie. Odeszła nieoczekiwanie i bezpowrotnie, pozostawiając żal, wspomnienie cichego a bohaterskiego życia i wizję promiennego, pełnego słodyczy uśmiechu, jakim darzyła wszystkich tych do których się zbliżała.

Kraj nieograniczonych niemożliwości

Ladislas Farago, autor najlepszej (jak powiadają — książki o współczesnej Abisynji[1]), nazwał ją krajem „nieograniczonych niemożliwości". Właśnie niemożliwości. Bo wystarczy dotknąć się spraw Abisynji, żeby zawołać: „Ależ to niemożliwe"!

Nie, naprawdę, kiedy się czyta doskonały reportaż Farago i innych lepszych, lub gorszych znawców państwa Negusa, ma się wrażenie, że takie państwo *nie może* istnieć, *nie może* prowadzić wojny, *nie może* zgodzić się na utratę niepodległości; nie może w ciągu jednego pokolenia, — jak chce cesarz Haile Salassie — dopędzić cywilizowanego świata, *nie może* cofnąć się do niedawnej przeszości; nie może z dzikusów zrobić ludzi kulturalnych, i *nie może*, jeśli chce istnieć, pozwolić tymże dzikusom pozostać dzikusami.

[1] „Abissinia on the eve".



Domniemany następca tronu drugi syn Cesarza.

Tak to wszystko wygląda, kiedy się na Abisynję patrzy przez okulary ciekawej książki. Ale kiedy się tam jest, jak ów Ladislas Farago, rozumie się, że to właśnie jest najbardziej — abisyńskie, owe nieograniczone niemożliwości, które w tym kraju są zupełnie możliwe.

Już samo istnienie, w podzielonej między europejskie potęgi, Afryce, niepodległego cesarstwa Etjopskiego, wydaje się conajmniej niedopatrzeniem historji. Bo gdybyż chociaż owa Etjopja była jednolita pod względem narodowościowym, kulturalnym, czy religijnym. Gdzietam! Poszczególne plemiona, wchodzące w skład cesarstwa — Szoa, Tigre, Amora, Daukali, Godar, Harrar — nie cierpią się między sobą, i co gorsza, czują dla siebie pogardę. Wszystkie zaś razem szczerze nienawidzą plemienia Amara, które od czasu cesarza Menelika, rządzi Abisynją.

Co się tyczy tego plemienia, to szczyci się ono tem, że nie płynie w niem ani jedna kropla krwi murzyńskiej. No tak, bo to jest Abisynja. W czarnem cesarstwie gardzi się czarnymi do tego stopnia, że żaden szanujący się Abisyńczyk nie poczuwa się nietylko do pokrewieństwa, ale nawet do przyjaźni z murzynami amerykańskimi, wszelkie też wezwania „czarnych braci z za oceanu" spotykają się w Abisynji z odprawą. Różnice religijne są niemniejsze od rasowych. Mieszkańcy Abisynji wyznają religję judaistyczną, mahometańską i chrześcijańską.

Chrześcijan jest najwięcej. Należą oni do kościoła koptyjskiego, którego głowa, tak zwany *Abuna*, tradycyjnie wybierany jest z pomiędzy mnichów pochodzenia egipskiego. Duchowieństwo koptyjskie i dziś jeszcze, przy postępowym i śmiałym reformatorze, Cesarzu Haile Selassie, ma olbrzymie wpływy w Abisynji. W rękach duchowieństwa (z 10.000.000 mieszkańców Abisynji około 2.000.000 w ten czy inny sposób przypisanych jest do kasty kapłańskiej). Są prawie wszystkie tak zwane „Szkoły powszechne". Piszę „tak zwane", bo „szkołą" szumnie nazywa się w Abisynji gromadka dzieci, która pod kierunkiem kapłana, pod gołem niebem, zwykle wprost na ulicy, sposobem „wkuwania w głowę", uczy się sztuki czytania, na psalmach. O szkołach innego typu pomówimy poniżej.

Dzięki „przejęciu" szkolnictwa (dodajmy na dobro Abisyńczyków: bez różnicy płci), duchowieństwo koptyjskie ma wpływ na swoich wiernych, już od wczesnego dzieciństwa. Wpływ ten wzmacnia umiejętnem straszeniem „Złym", który jest w Abisynji wszechobecny, i, powiedzmy, wszechpotężny. Kto się chce przed nim zabezpieczyć, musi pilnie spełniać praktyki kościelne, lub wykupywać się za pośrednictwem kapłanów.

Różnice kulturalne również zarysowują się bardzo wyraźnie. Podczas, gdy niektóre plemiona prowadzą spokojny, osiadły tryb życia, zajmując się rolnictwem, hodowlą i myśliwstwem, inne żyją poprostu z rozboju. Pcha je do tego nędza obszarów, na których wegetują, no i tradycja. W prowincji Birru np., młodzieniec nie może się ożenić, o ile nie dowiedzie, że zabił w swojem życiu przynajmniej jednego obcego.

Te różnice rasowe, religijne i kulturalne, pogłębia jeszcze podział Abisynji na prowincje (dawniejsze królestwa), rządzone przez *rasów*. Większość z nich podlega już, de jure i de facto, cesarzowi. Ale są i takie, które zachowały dużo z poprzedniej niezawisłości. Przedewszystkiem — wojska lokalne, które nie wchodzą w skład właściwej Armji cesarskiej. Prawdę mówiąc, różnią się od niej również stopniem wyszkolenia i zaopatrzenia. Oczywiście, na swoją niekorzyść. Różnice te sprawiają, iż właściwie nie można mówić o Abisyńczykach w ogólności, ale raczej o jakiemś jednem plemieniu. To, co się zazwyczaj o całej Abisynji pisze, odnosi się do plemienia Amara, które, jak wspomniałam, zdobyło sobie suwerenność nad krajem.

Stolicą plemienia Amara i całego państwa jest Addis Abeba (Nowy Kwiat),



Cesarzowa Manen.

zbudowana przez cesarza Menelika, poprzednika obecnego cesarza. Addis Abeba pełna jest niemożliwości, jak cały kraj, i dlatego godnie reprezentuje państwo.

Ma szerokie ulice, przy których stoją domy w stylu europejskim, pięknie planowane przez europejskich architektów, gmachy publiczne, ma dworzec kolejowy, na który dwa razy na tydzień dumnie wjeżdża pociąg z Dżibuti (podróż trwa trzy dni i dwie noce).

Nocami zresztą pociągi nie chodzą, bo nie jest to bezpieczne, ma taksówki, parlament (w którym wolno przemawiać tylko cesarzowi), nowy i stary pałac cesarski, wspaniałe świątynie, szkoły z wykładowym językiem angielskim (amarski jest na prawach wszystkich innych przedmiotów), korpus kadetów, z którego szesnastoletni chłopcy wychodzą w stopniu porucznika. Ministerstwa, poselstwa obcych państw, tor wyścigowy, kabaret paryski...

Ale ma również i ciasne uliczki, przy których stoją starodawne *„tukul”* (domy mieszkalne) „szkoły” pod gołem niebem, stacje, na których zatrzymują się lokalne środki komunikacyjne — karawany, sądy, wydające wyroki w drobnych sprawach, tak zwanych *csikicsik* wprost na ulicy, więzienie, które jest placem otoczonym drutem kolczastym, miejsce kaźni publicznej, a z zapadnięciem zmroku — nieprzyjemne w spotkaniu hjeny, grasujące bezceremonjalnie po zaułkach i placach.

Bo oświetlenia Addis-Abeba nie zna. Dzień trwa tu od 6-ej rano do 7-ej wieczorem. Przez cały rok. Noc jest w pojęciu Abisyńczyków do spania, a w każdym razie nie do włóczenia się poza obrębem „tukul”. Choćby z racji owych hjen. „Tukul” składa się przeważnie z jednej izby, u bogatszych przedzielonej zasłoną. Sprzętów prawie niema. Ozdób również: Abisynja nie jest krajem, w którym sztuka jest ceniona. Naród ten (a może dokładniej *narody)* nie posiada ani muzyki, ani pieśni, ani malarstwa, ani zdobnictwa.

Śpiew ich — to monotonne zawodzenie, a muzyka — monotonne brzdąkanie na instrumencie, przypominającym skrzypce. Pomimo tego braku narodowej muzyki i pieśni, Abisyńczycy lubią i jedno i drugie. Przed sklepami z gramofonami zbierają się tłumy, nabożnie zasłuchane w szlagiery amerykańskie i murzyńskie piosenki. Czyżby jednak krew murzyńska płynęła w „kawowych” synach plemienia Amara?..

Strój Abisyńczyków (i to wszystkich) składa się z białej koszuli, białych pantalonów i togi, zwanej *„szama”*. Wyższe kasty noszą togi czarne. Kobiety ubierają się również na biało. Barwne stroje nie są lubiane. Uważane są za ordynarne. W przeciwieństwie do reszty Afryki.

Abisyńczycy rozwijają się wcześnie. 12 — 16 lat, to najlepszy wiek podobno dla tych czarnych czy kawowych obywateli. Stąd owi 16-letni oficerowie, od 12-go roku życia studjujący przedmioty, których Europejczyk uczy się po 18-ym.

Stąd 12-letni chłopcy w szeregach wojsk regularnych i armjach lokalnych.

W Abisynji nie są to dzieci, ale młodzieńcy. Ponieważ jednak uparta natura jest nieco innego zdania, zbytni wysiłek w tak młodym wieku sprawia, że mężczyźni w Abisynji starzeją się wcześnie.

Dziewczynki również uważane są za dojrzałe w wieku od lat 10. Trafia się, że i ośmioletnie wydawane są zamąż, ale to już wyjątki.

Małżeństwo kościelne jest w Abisynji nierozerwalne. Rozwody i unieważnienia — nie istnieją. To też nikt nie bierze tam ślubu lekkomyślnie i albo zawiera cywilne „małżeństwo” próbne na rok, albo również cywilne — tak zwane „z wymówieniem” na lat trzy. Jeśli przekona się, że jest mu z wybraną żoną (jej nikt o to nie pyta), dobrze, bierze ślub kościelny. Czy mam tu napisać, myśląc o naszych projektach reformy małżeńskiej „nic nowego pod słońcem”?

Cesarz Haile Selassie uważa jednak te trzy formy pożycia za przesąd i dąży do ich zniesienia. Ale cesarz przejął się już europejską kulturą i europejską moralnością.

Bo w Abisynji rzecz taka, jak „moralność” nie istnieje. Sceny, których jest się świadkiem na ulicy, zgorszyć mogą najmniej pruderyjnie usposobionego białego. Ale Abisyńczycy mają własne, surowsze od nas poczucie skromności. Np. kostjumy kąpielowe budzą w nich zgorszenie i żadna szanująca się Abisynka nie włożyłaby paryskiej toalety. Uznają tylko nagość uzasadnioną. Kokieterja nie jest „uzasadnieniem”.

W „Tygodniku Kobiety” niepodobna nie pisać o położeniu kobiet i t. d. Jak jest w Abisynji? Kobieta, w obecności męża nie ma głosu, ale ma prawo do wykształcenia. Pod tym względem nie istnieją żadne ograniczenia płci. Abisyńczycy nie lubią handlu, gardzą rzemiosłem. Lubią pracę na roli, myślistwo, i kochają się w zawodzie wojskowym.

Rzecz dziwna, ten rycersko-rozbójniczy naród kocha wojnę, a gardzi jej narzędziem — bronią wszelkiego rodzaju. Są to w pojęciu Abisyńczyka bezwzględnie twory „Złego”, owe karabiny, noże, szable i t. d.. Ale posiadać je — lubi. Ma tylko w pogardzie handlarzy bronią. Czy nie jest to wysoka moralność, uważać, że wolno bronią zabić, ale nie wolno nią handlować, właśnie dlatego, że jest narzędziem śmierci?

Tak wygląda życie i obyczaje tego plemienia w wielorasowej Abisynji, które dziś rządzi krajem. Z plemienia tego cesarz Haile Selassie nagwałt robi ludzi cywilizowanych na naszą modłę. Zakłada szkoły, wyszkolił urzędników i wprowadził administrację na wzór francuskiej, wyćwiczył armję na wzór belgijskiej, ma doradców Szwajcarów i Niemców. Ten wielki rewolucjonista i twórca nowego cesarstwa Etjopskiego zasługuje na specjalny artykuł. Tu powiem o nim tylko tyle, że z kraju „nieograniczonych niemożliwości” żelazną wolą, opartą na znajomości swoich poddanych, buduje kraj „nieograniczonych możliwości”. Wie, że ci ciemni, jeszcze dzicy, jeszcze tylko powierzchownie pokostowani cywilizacją ludzie, podzieleni na plemiona, różniący się religją i obyczajami, nie dadzą łatwo odebrać sobie ziemi. Że są już narodem. Że są już państwem: Że kiedy mówią: „Umrzemy a nie poddamy się Włochom” — mówią to świadomie. I na tej już zrodzonej świadomości państwowej, opiera Haile Selassie swój wielki plan reform.

Zet.



Podczas gdy mężowie Abisyńscy walczą na froncie, żony ich i dzieci pędzą życie normalne w „zaciszu domowem”.



Dzielnica ubogich w Harar.



Wojownicy Abisyńscy.



Cesarz przy posiłku.

William Locke

Uzurpator

Przekład autoryzowany Ludwiki Ciechanowieckiej

Powieść



— Jeżeli podali nam chińską herbatę, to zamówimy do niej cytrynę; cejlońska jest smaczniejsza z mlekiem.

— A mnie się zdaje, że dali nam poprostu mieszankę — odparł Jasper z uśmiechem.

Dyskusja stała się bezprzedmiotową. Zdecydowano się zatrzymać mleko i odesłać kelnera. Alicja sięgnęła po czajnik i nalała herbaty Jasperowi. Białe jej palce chwyciły kawałek cukru i na chwilę zawisły nad filiżanką. Te białe palce, to także owoc zakazany, pomyślał Jasper, nie śmiał jednak wyrazić głośno swych myśli, postanowił więc zmienić temat rozmowy. Podniósł ze stołu książkę, oprawną w pergamin, którą Alicja przyniosła ze sobą.

— We wczorajszym Times'ie czytałem pochlebną recenzję o tej książce — zauważył.

— Doprawdy? — zawołała porywczo Alicja. — Musi mi pan pokazać tego Timesa. Bunny będzie w siódmem niebie. To mój wielki przyjaciel, Bonamy Tredgold. Szalenie miły chłopiec. Wszyscy go nazywamy Bunny. Jestem przekonana, że będzie sławnym poetą. Swoją drogą, ci panowie z Times'a są okrutni, przetrzymali jego książkę całe pół roku, zanim zdecydowali się zamieścić recenzję.

Jasper otworzył książkę i zaczął czytać jeden z wierszy. Uwagę jego przykuła oryginalna poetycka przenośnia. Czytając ją, odniósł wrażenie, że słyszy głos z za świata. W uszach mu brzmiał daleki szum oceanu i tajemnicza muzyka morskich muszli. Spojrzał na Alicję. W oczach jej czaił się niepokój.

— Pani ma rację — to wielki poeta.

— Jakże się cieszę — zawołała Alicja — że pan jest tego zdania. Na bladych jej policzkach wykwitł rumieniec, — ten wiersz jest cudowny. Cała twórczość mego znajomego świadczy o tem, że posiada on jasny, szlachetny umysł. Nie ma w nim znamion dekadencji, ani snobizmu.

— Ile on ma lat? — zapytał Jasper.

Lady Alicja nalała mu znowu herbaty i odrzekła.

— Niestety, jest jeszcze bardzo młody. Boję się o niego.

— Boi się pani? — powtórzył Jasper. — Trzeba się cieszyć, że ktoś jest młody. Proszę tylko pomyśleć, co to za szczęście: — być poetą i w dodatku młodym. Jest się wtedy panem świata. Dwadzieścia lat... Czego więcej można żądać od Boga?

— Bunny jest bardzo biedny — rzekła Alicja.

— Gotów byłbym darować dziesięć lat życia — odparł Jasper — gdybym mógł wzamian przeżyć jedną godzinę, jako dwudziestoletni chłopiec. Wstydzę się przyznać, lecz dotychczas nie interesowałem się poezją. Poezja nigdy nie stanęła na mej drodze, zawsze jednak odczuwałem uwielbienie dla wielkich poetów.

Przechylił się wstecz i założył ręce na karku.

— Poeta posiada moc wydobywania ukrytych zjawisk, które są niewidzialne dla przeciętnego człowieka. Człowiek przeciętny zdaje sobie sprawę, że istnieje w nim szereg tajemnic, których sam odkryć nie umie. Natomiast poeta jest najwidoczniej w zmowie z Bogiem, i posiada władzę nad sprawami ducha. Zarówno bogactwo, jak i nędza, nie wywierają nań wrażenia, jest niezależny od zewnętrznych okoliczności, rządzi światem, jest kochany i podziwiany. Miłości ani uznania nie można kupić za pieniądze.

Rzekłszy to, pogrążył się w zadumie; przerwała ją lady Alicja.

— Gdy pan przyjedzie do Londynu, postaram się poznać pana z Bonnamy Tredgoldem. Spewnością pan go polubi. To stuprocentowy mężczyzna, o pięknej duszy. Jesteście przytem spokrewnieni. On jest również moim kuzynem przez Hardenów. Nasi dziadkowie byli rodzonymi braćmi.

Słowa Alicji podziałały na Jaspera, jak tusz zimnej wody. Poraz pierwszy od wielu dni poruszyła ona znowu sprawę ich pokrewieństwa. Jasper łudził się nadzieją, że już o tej sprawie zapomniała, albo uwierzyła jego zapewnieniu, iż pochodzi z innej rodziny. Przekonał się teraz, że nie dała zawygraną. Zdawało mu się, że zimny wicher zaszumiał wśród drzew. Twarz jego pociemniała. Rzucił jakąś banalną odpowiedź, nie potrzebował jednak podtrzymywać rozmowy, gdyż, na szczęście dla niego, we drzwiach ukazała się lady Luxmoore. Okazało się, że szuka oddawna Alicji. Pożegnał więc obydwie przyjaciółki i udał się w kierunku sali gry.

W głowie miał zamęt, postanowił jednak narazie nie myśleć o dręczącej sprawie. Może hazard uspokoi wzburzone nerwy. Postanowił spróbować szczęścia przy stole gry, lecz w przedsionku wpadł na Blenkinsona, miljonera amerykańskiego. Siwowłosy jegomość, na widok Jaspera, zerwał się z fotela i rozpoczął z nim przyjacielską pogawędkę, która przeciągnęła się aż do obiadu. Nie omieszkał przytem opowiedzieć mu szeregu anegdot, na temat miasta Chicago.

Owego wieczoru Jasper, chcąc się zrewanżować nowym znajomym, zaprosił kilkanaście osób na obiad, do wykwintnej restauracji. Alicja była jego najbliższą sąsiadką; Jasper usiłował grać rolę poprawnego gospodarza, ale co chwila uświadamiał sobie, że się zgrywa w sposób kompromitujący. Opadła go dawna nieśmiałość. Ludzie, siedzący wokoło stołu, budzili w nim lęk; wydawali się mu oni istotami z innej planety, sama zaś lady Alicja była dziwnie niedostępna. Nagle poczuł dziką ochotę przyznania się, dla żartu, do swego z nią pokrewieństwa. Opanował jednak nerwy.

Obiad trwał nieskończenie długo, a gdy wreszcie dobiegł do końca, całe towarzystwo podzieliło się natychmiast na grupy i ruszyło do sali gry. Poker działał na nich niby magnes. Przerażony Jasper dał sobie słowo, że nie pozostanie sam na sam z Alicją. Bogowie jednak inaczej zadecydowali o jego losie. Pomimo rozpaczliwych wysiłków, jakie czynił, chcąc uniknąć spotkania z Alicją, znalazł się nagle tuż obok niej, w tłumie, płynącym ku wyjściu.

Zaczął przyspieszać kroku. Nagle poczuł na ręku lekkie dotknięcie. Alicja musnęła go wachlarzem.

— Nie chcę zostać w tym dusznym salonie — rzekła — noc jest parna, w taką noc można siedzieć tylko w ogrodzie. Chcę odetchnąć świeżem powietrzem:

— Dokąd idziemy? — zapytał Jasper niepewnym głosem.

— Wystarczy mi tutejszy ogród — rzekła Alicja — siadając na prostej ławce. Padało na nią światło, bijące z okien hotelu. Tym razem nie było mowy o kuzynostwie, rozmowa toczyła się na najrozmaitsze tematy. Alicja odnosiła się do Jaspera niezwykle przyjaźnie. Koronkowy wachlarz poruszał się lekko, a Jasperowi zdawało się, że za każdym razem owiewa go subtelna woń jej oddechu.

Alicja prosiła go, by opowiedział jej, jak spędził dzieciństwo i młodość w obcych krajach. Jasper nigdy jeszcze nie zwierzał się kobiecie. W sercu jego zaczęły się budzić dawno wygasłe uczucia. Czar wspomnień uderzył mu do głowy.

Minęło wiele godzin, ale oni nie zdawali sobie z tego sprawy. Wreszcie Alicja podniosła się z miejsca i oznajmiła Jasperowi, że nadszedł czas rozstania. Odprowadził ją aż do bramy Hotel d'Europe.

— Sprawił mi pan wielką radość, mówiąc o sobie — szepnęła. — Nie mam teraz wątpliwości, że zawarliśmy pakt przyjaźni. Uścisnęła mu rękę; dotyk jej aksamitnej dłoni sparzył go, jak ogień. W żyłach jego burzyła się krew. Odszedł od Alicji, unosząc jej obraz w sercu, jak ktoś, kto poraz pierwszy poznał miłość. Szedł, jak we śnie, mrocznemi ulicami małego miasteczka, pijany szczęściem. Gdy wrócił do swego pokoju, stanął przed lustrem i przez czas dłuższy wpatrywał się w swoje odbicie. W pewnej chwili rozpłynęło się w ciemnej gęstej mgle, ustępując miejsca pośmiertnej masce obcego człowieka... Zkolei upiorna zjawa odeszła w cień, a w mrocznej głębi lustra ukazało się żywe oblicze tego samego człowieka, oprawne w ramę kolejowego okna.

Jasper wzdrygnął się i przetarł oczy, jak człowiek, budzący się z ciężkiego snu, potem usiadł przy oknie i posłał wzrok daleko, ponad dachy białych hoteli, odcinające się na tle czarnych gór i gwiaździstego nieba. Chwila zamroczenia minęła, był już teraz znowu trzeźwy i spokojny. Zdawał sobie jasno sprawę, że kocha Alicję. Wiedział również, że dźwiga ciężar nadludzki; miłość i wspomnienie przeszłości tłoczyło mu pierś. Spojrzał wdal, zacisnąwszy zęby i szepnął sam do siebie.

— Jestem silnym człowiekiem.

Rozdział IV.

Jasper wyjechał z Aix — les Bains następnego dnia wczesnym rankiem, pozostawiwszy lakoniczną kartkę do Alicji. Nagły swój wyjazd tłumaczył tem, że ma ważne sprawy do załatwienia w Londynie. Dziękował jej, nader zresztą powściągliwie, za miłe chwile, spędzone razem.

Po przyjeździe do Londynu zjawił się w biurze, co wywołało niemałe zdziwienie starego Cudby; oświadczył mu, że znudził go pobyt w Aix i że zatęsknił do pracy. Kuracja pomogła mu na podagrę, wspomniał też mimochodem o spotkaniu z Alicją, jakoteż z Blenkinsonem, z Chicago. Cudby, usłyszawszy nazwisko Alicji, odrazu się zorjentował, w czem rzecz, więc z ironicznym uśmiechem słuchał wykrętnych wywodów swego chlebodawcy. Jasper zabrał się gorączkowo do pracy, wysłał Cudbi'ego na urlop, sam zaś całemi dniami ślęczał przy biurku.

Trzeba było zrealizować szereg projektów, zamierzał założyć szpital dla zakaźnych w mieście, na północy, oraz osadę dla bezrobotnych w Essex, miał również zająć się rozwiązaniem problemu mieszkaniowego w Bermonsey. Zbliżały się też wybory w North Ham, co pociągało za sobą konieczność organizowania kampanji, zebrań przedwyborczych, konferencyj i spotkań z politykami. Gdy Cudby wrócił z urlopu, zastał Jaspera w świetnej formie, niby mitologicznego atlasa, dźwigającego świat na barkach.

Lady Alicja pozostała w Aix aż do końca kuracji, później pojechała wraz z ciotką, na tradycyjny „nachkuhr" do Szwajcarji. W połowie listopada zawitała na stałe do Londynu. Poza uroczą posiadłością wiejską, Hertfordshire, lady Alicja miała śliczną willę na Onslow Square. Była bowiem dziedziczką dużej fortuny, jako siostrzenica bogatego bankiera Szymona Vellacot. Stary Szymon w przeciwieństwie do swego zdziwaczałego kuzyna, wiódł wystawny tryb życia, jako giełdziarz, umarł zaś otoczony nimbem powszechnego szacunku. Matka Alicji, a jego siostra, wcześnie osierociła córkę, zaś mąż jej w kilka lat później ożenił się znowu z sympatyczną zresztą kobietą, ale powrócił do zasad zacofanego purytanina. Lady Alicja przez czas pewien mieszkała pod jednym dachem ze starym Carlem, lecz skoro ojciec jej zapisał się oficjalnie do sekciarskiego związku, Braci Plyhouth — rozstała się z nim nazawsze.

Była młoda, niezależna, pełna radości życia. Świat w jej pojęciu nie był ponurą świątynią, w której strasza djabły, ale rajskim ogrodem, pełnym pokus. Winiła siebie za to, że nie umie tak jak rodzice odkrywać zła i grzechu w każdym kwiecie, że rozkosze ziemskie nie wydają się jej bynajmniej czemś zdrożnem i marnem. Rodzice ubolewali nad jej krótkowidztwem, nie zdobyli się jednak na to, by ją potępić. Macocha pocieszała się nadzieją, że jej przyrodnia córka wyjdzie zamąż za człowieka, który wywrze na nią zbawienny wpływ, zaś sędziwy Carl wierzył święcie, że Stwórca uratuje w ostatniej chwili damę z tak dobrego towarzystwa. To też lady Alicja rządziła się w swoich dwóch domach zgoła nie przekraczając piątego przykazania. Rok rocznie, gwoli zaznaczenia swej uległości spędzała z rodzicami dwa tygodnie w posępnym zamku, którego mury rozbrzmiewały echem purytańskich kazań.

W ciągu sześciu lat lady Alicja wiodła niezależną egzystencję, chociaż towarzyszyła jej wszędzie lady Luxmoore, w charakterze damy do towarzystwa. Niedawno skończyła trzydzieści rok życia. Przyjaciele jej dziwili się, iż nie chce wyjść zamąż. Taka miła kobieta — powtarzali z ubolewaniem — taka sympatyczna... taka ładna... taka posażna... tak się podoba mężczyznom... wielbiciele deptali jej po piętach, snuli się za nią jak cienie. Miała zawsze przynajmniej dwóch adoratorów, którzy napróżno starali się o jej względy.

(D. c. n.)

S. Borowska

Celny strzał



Nowela.

Nigdy sobie wyobrazić nie zdoła, — kto nie widział na własne oczy, — jak pięknym był porucznik Witkowicki. Uroda jego była chlubą pułku, skrytą zazdrością kolegów, uweseleniem oczu wyższych ułańskich szarży, — a kobieta, — zbiorowa kobieta, czołgała się u jego stóp.

Powodzenie jego u niewiast było poprostu fatalne i poniekąd już niesmaczne. Pomijając milczeniem ekscesy dam z towarzystwa i pensjonarek,—wszystkie, co młodsze praczki, w mieście, w którem pułk jego kwaterował, ubiegały się o zaszczyt prania jego bielizny, a kelnerki w cukierni usługujące, podawały mu bułeczki do kawy gestem tak zalotnym, jakby na fajansowych talerzykach leżały ich własne serca. Porucznik bułeczki spożywał w wielkiej ilości, serduszka zaś przeważnie pozostawiał na brzegu talerza, niby natrętne muchy, wstydliwie wyłowione z rosołu.

Karmiony ciałem astralnem zakochanych dziewic, sytym był właściwie powodzenia i triumfu, nie odnosił się pożerczo do cnoty niewieściej i nie nurzał w rozpuście.

Napęczniały pychą ordynans tej nieczułej, męskiej Galatei, podawał mu prawie codzień, odebrane od listonosza, skonsolidowane nawoływania miłosne, różowego i lila koloru, zalatujące silnie wszelakiem zielskiem, krajowem i zagranicznem. Porucznik rzucał je niedbale na stół, nie otwierając wcale. „Drukowane" bowiem czytywał rzadko i niechętnie, a „pisanego" wolał nie dotykać.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że porucznik był głupim. Inteligencja jego oczywiście nie dorastała miary piękności, — w tym wypadku byłby chyba genialnym, ale nie świeciła lukami ani w salonie, ani w koleżeńskiem kółku. Był to zresztą bardzo porządny chłopiec, przez wszystkich serdecznie lubiany.

Jedyną namiętnością jego było polowanie, — przedmiotem najgorętszej miłości — dubeltówka. W chwilach wolnych od obowiązków stanu i towarzyskich, pieścił się porucznik ze swoją fuzyjką, obracał w rękach, rozśrubowywał, czyścił, mierzył do urojonego celu za oknem, — a przytem najsłodszem ze wszystkich zajęciu, pośpiewywał sobie, — to na całe gardło, to pianissime:

„Dziewczyno kochana,
„Masz białe kolana,
„Bassaram tete....
„Jak na wodzie piana...."

Piosenki tej nauczył się w zaraniu młodości od stryja, który pierwszy, przed laty, zabrał go na polowanie i oddawna już nie żył. Było to jakoby tłomaczeniem z węgierskiego, o czem miało świadczyć wymownie siarczyste „bassarem tete" nieznanego pochodzenia.

Piosenka ta, za dni młodości stryja Witkowickiego, uchodziła niewątpliwie za swawolną, albo wręcz za zuchwałą,— ale w obecnej dobie, tchnęła tylko niewinną świeżością uczuć.

W sezonie myśliwskim nie brakło porucznikowi zaproszeń na polowania. Okoliczne ziemiaństwo chętnie przyjmowało u siebie ułanów. Młody Nemrod używał. Nadszedł jednak kwiecień, zimny, wietrzny, szary. Porucznik obracał w rękach fuzję, czyścił, rozkręcał, mierzył przez okno w dal, celując w ciemniejącą na horyzoncie linję dalekiego lasu, do którego, niby dziki, więziony gołąb, wyrywała się jego tęsknota.

Miasto było obrzydliwe, pełne błota i cywilnej hołoty. Kasyno — nudne. Damy wszystkie — szpetne jak żyrafy, — te nawet, które kiedyindziej wydawały się bardzo przystojne. Nadomiar nieszczęść i ordynans zameldował od rana, że kasztanka „smuci się". Ot, nie chce jeść i smuci się, kto ją tam wie dlaczego...



w chwilach wolnych od obowiązków pieścił się porucznik ze swoją fuzyjką...

Po południu ogarnęło porucznika wielkie ziewanie. Z jakąż radością powitał młodego obywatela z sąsiedztwa, który przyjechał, aby go osobiście zaprosić na polowanie na lisy.

Załatwienie formalności w pułku i przygotowanie do drogi nie zajęły wiele czasu. Wyruszono, gdy zmierzch zapadł.

Drzewa liściaste nagie były jeszcze tego ranka, gdy porucznik wjechał do lasu wraz z towarzyszącym mu, gościnnym ziemianinem. I ziemia leśna, pod rdzawem przykryciem opadłych w jesieni liści, wyglądała sennie, choć wiedziała już o wszystkiem, co przyjść miało.

Porucznik zaciągnął się zimnym, rozkosznym dla zdrowych płuc powiewem i chciał pochwalić na całe gardło fetysze myśliwskiego powodzenia, białe kolana nieznanej, węgierskiej dziewczyny, ale się pohamował. Nie wypadało.

Trzeba już było wysiąść z bryczki i dalej iść piechotą, aż do miejsca, gdzie dwóch chłopów pod dozorem gajowego, rozkopywało lisią norę. Nie pozostało najmniejszej wątpliwości co do tego, że lis ucieknie, lecz chodziło o wydostanie szczeniąt. Porucznik czuł już, że polowanie obejdzie się bez strzału i stracił nieco humor. Po upływie godziny zaledwie, kopiący dotarli do legowiska i wyciągnęli czworo małych lisiąt. Ślepe były i brzydkie, zdane całkowicie na łaskę grubych, niemiłosiernych rąk ludzkich. Zabrano się do zasypywania nory.



a kelnerki w cukierni podawały mu bułeczki gestem tak zalotnym jakby na fajansowych talerzykach leżały ich własne serca...

Panowie usiedli na pniach, roztrząsając głośno kwestję lisiej szkodliwości i chytrości. Porucznik przyglądał się szczenięłom, pełzającym naoślep, tuż przy jego stopach. Polowanie było nieciekawe.

Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Z zarośli wypadło ognisto-rude stworzenie i biegło ku ludziom, do miejsca, skąd dolatywało skomlenie lisich szczeniąt. Zjawisko było tak nagłe, tak niespodziewane, że nikt się nie poruszył, nikt nie wydał krzyku. W kilku susach dopadła drapieżna, leśna rozbójnica do siedzących myśliwych. W ostatnim, znikomym odruchu instynktu samozachowawczego zatrzymała się o parę kroków zaledwie.

Przy stopach nienawistnego człowieka pełzały skomlące żałośnie szczenięta, którym działa się krzywda. Spojrzała na niego. W oczach jej była rozpacz i trwoga wszystkich matek ludzkich i zwierzęcych, umierających z niepokoju o swoje dzieci. Wzrok ten wyczuwalny jak dotknięcie zbudził z odrętwienia młodego myśliwego. Poderwał fuzję do twarzy i celnym strzałem położył lisa na miejscu.

Nikt mu nie winszował, gdy siedział tak oszołomiony własnym wyczynem. Ziemianin i prości, zasypujący jeszcze norę ludzie, trwali w tumanie niewysłowionego czaru bohaterskiej, macierzyńskiej miłości, silniejszej, niż śmierć.

Po chwili dopiero gospodarz wycedził z uśmiechem:

— Jakże pan mógł...

A porucznik sam mocno niezadowolony ze siebie, pomyślał, że celny strzał bywa czasem jeszcze przykrzejszy, niż pudło.

Historja jednej trudnej drogi

Wywiad z Polą Gojawiczyńską

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że rozmowa z tegoroczną laureatką Warszawy nie będzie dla mnie przedstawiała dużych trudności. Ongi dochodziłam do wywiadów z zupełnie obcemi sobie osobami drogą doskonałej bezczelności, zapomocą prosto z mostu telefonów, niedyskretnych pytań, sprytnych podgadywań.

A Pola Gojawiczyńska nie była przecież dla mnie taką zupełnie obcą panią, znaną tylko z fotografji i drukowanego gęsto w pismach nazwiska; parę mrocznych ranków w redakcji i szereg słonecznych dni nad morzem — przerzuciło zdawałoby się, most pewnej towarzyskiej poufałości między mną, a panią Gojawiczyńską. Most był jednak kruchy i wątły, bo pewne rezerwy ustosunkowania się do ludzi Poli Gojawiczyńskiej, nie dopuszczały w jej sposobie bycia żadnej zbędnej i zakłamanej serdeczności. Ludzi, którzy ją otaczali, można było podzielić na 3 grupy: takich sobie znajomych, dobrych znajomych i przyjaciół. Ja byłam „taka sobie" za mało, żeby można było potraktować wywiad, jako rozmowę przyjacielską, za dużo, żeby oficjalnie, po dziennikarsku wejść w życie pani Gojawiczyńskiej. Wobec tego, moja telefoniczna prośba była cicha i nieśmiała, a program wywiadu, pełen zastrzeżeń. Wkońcu poszłam na ulicę Brzozową z przeświadczeniem, że idę bez programu, to było najlżej dla zwykłego ludzkiego poczucia delikatności. A może sama laureatka ma zgóry ułożone, przemowy wywiadowe.

Ale tak nie było.

Gdybym pisała wywiad według często gęsto używanego schematu, napisałabym, że dowiedziałam się tych a tych rzeczy... przy miłej towarzyskiej rozmowie i przy filiżance wonnej (koniecznie) herbaty". Nie napiszę tak, choć była i herbata i doskonałe ciasteczka i naprawdę ciekawa rozmowa z panią Gojawiczyńską, i z córką jej Wandą, najbardziej literackim podlotkiem, jakiego zdarzyło mi się spotkać. Był także rozkoszny, miękkouszy Kajtuś, szczeniak-spaniel, który lubił ciastka, a nie lubił rozmów na poważne tematy.



Początkowo temat nie dał się łatwo wałkować.

Pierwsze moje pytanie — jaką drogą pani doszła do pisania — wydało mi się banalne i kto wie, czy potrzebne, ale właśnie tylko tak można było zacząć. Droga do twórczości, prawie taka sama, jak późniejsza droga do sławy, pełna jest niespodzianek dla laików, którzy widzą w niej same cuda. Trudno jest przecież zrozumieć, że to przychodzi pewnego dnia samo: bo właśnie inaczej być nie mogło. Takiego pewnego dnia, rodzi się w człowieku pisarz, i od tej chwili taki nawiedzony człowiek jest raz na zawsze stracony dla rozsądku.

Pola Gojawiczyńska została „nawiedzona" już oczywiście w pierwszej klasie gimnazjalnej. Pisała, oczywiście, wiersze i oczywiście nikt się tem specjalnie nie interesował.

— Uważam to za bardzo dobre — mówi poważnie pani Pola. Pisać trzeba, kiedy coś człowieka do tego zmusza, ale niewolno za wcześnie drukować.

— Dlaczego, czyż to jednak nie wyrabia w człowieku do pewnego stopnia sztuki pisarskiej?

— Nie, to ją tylko manieruje. Obecne szkolne gazetki i podziw starszego pokolenia dla każdego objawu twórczości literackiej wśród młodzieży, wytwarza tylko setki grafomanów, ale często przygłusza talent w jednostkach naprawdę zdolnych. Ja wiele lat nie drukowałam wcale — pisałam, bo musiałam pisać. A mając lat 16 zerwałam z literaturą, zdawałoby się na zawsze.

— Dlaczego, czy przyszło na panią jakieś rozczarowanie?

— Przeciwnie, było to wtedy, kiedy po wysłaniu moich utworów do Zapolskiej, chorej już wtedy bardzo, otrzymałam od niej odpowiedź, pełną słów zachęty.

— Dziwne, że to właśnie nie pchnęło pani do poważnej pracy literackiej.

— Bardzo dziwne, chociaż nie można powiedzieć, żeby słowa Zapolskiej, poszły na marne. Zapolska radziła mi w swoim liście zwrócenie specjalnej uwagi na psychologję dziecięcą. Wtedy wydało mi się to nieważne, ale po latach...

— Wiem, wiem, — zawołałam z triumfem. — To pierwsze kartki „Dziewcząt z Nowolipek".

Pani Pola uśmiechnęła się potakująco. Słowa — Dziewczęta z Nowolipek— rozjaśniają jej twarz i zapalają specjalne błyski w mądrych, ciemnych oczach. Jest to jej najulubieńsza książka. — Włożyła w nią całą siebie — i w typach dziewcząt, i w opisach dawnej, przedwojennej Warszawy, która jest dla Poli Gojawiczyńskiej — najukochańszem miastem.

— Nigdy nie czułam się dobrze poza Warszawą, mówi pani Pola z ukrytem, na dnie głosu, wzruszeniem. Wszystkie moje drogi prowadziły do niej właśnie.

— A Śląsk?

Pani Pola się zamyśla. Jest to najlepsza chwila, aby znowu dopytywać się natarczywie o jej pojednanie z literaturą. Więc autorka mówi o swych pierwszych nowelach śląskich, pisanych już nie przez szesnastoletnią dziewczynę, ale przez poważną mężatkę, dla której dom, dziecko, obowiązki społeczne były gigantyczną przeszkodą, w zdobywaniu chwili czasu na pisanie.

Nowelek swoich, zgromadzonych w tomie p. t. „Powszedni dzień", Pola Gojawiczyńska nie ceni specjalnie.

— Pisałam je w wielkim trudzie, borykając się z ustawieniem każdego zdania, z wydobyciem z każdego słowa całej jego treści. I nigdy nie byłam z mojej pracy całkowicie zadowolona.

Uśmiecham się cicho. Pani Pola mówi o Ziemi Elżbiety, o tem, jak bardzo pociąga ją jeszcze dziś surowość życia śląskiego, tak podobna do surowości życia ludzi północy, opisanych przez jej ulubionych autorów, Hamsuna, Gjellerupa i Bojera, a ja widzę oczami wyobraźni mały pokój redakcyjny w redakcji Bluszczu, szary zimowy, czy bodaj jesienny poranek. Nieanonsowana przez nikogo wchodzi drobna postać kobieca, mówi cichym głosem parę nieśmiałych słów i wychodzi, kładąc na rogu redaktorskiego biurka kilka oprawnych w ceratę bruljonów. To były te nowele, o których autorka mówi bez zachwytu, a które my, zespół redakcyjny, czytaliśmy wówczas z okrzykami, że talent, że oryginalne, a przedewszystkiem, że takie mocne i poważne ujęcie rzeczywistości.

I do dziś dnia Pola Gojawiczyńska nie umie podejść do jakichkolwiek przejawów życia powierzchownie, zająć się niemi niepoważnie, szukać uśmiechów tam, gdzie są one widoczne i nieulegające wątpliwości. Powagi nauczył ją Żeromski, pierwszy mistrz słowa, pierwsza jej miłość literacka; surowości — pisarze północy.

Górny Śląsk — bogaty w mocnych ludzi, walczących z czarnym kamieniem węgla, tak jak północ walczy ze srebrnym kamieniem lodu, pierwszy opanował wyobraźnię Poli Gojawiczyńskiej, pozwalając wykrzesać z siebie jej wielkiemu talentowi całą swą mroczną poezję.

Warszawa w „Dziewczętach z Nowolipek" zdawałoby się, że musi być inaczej potraktowana. A jednak życie, płynące na tle brudnych kamienic ulic Nowolipia, Nowolipek i Mylnej, płynie, ujęte w takie same formy surowości. Tragedje codziennego życia urastają do rozmiarów tragedyj klasycznych, walka człowieka z losem ma wszelkie znamiona symbolu. Niema w tem nic szarego i przyziemnego. Poprzez ciemne sutereny i mroczne, cuchnące mydłem i naftą sklepiki, przewija się wielkość człowieka.

Tego wszystkiego, oczywiście, nie mówi mi w wywiadzie Pola Gojawiczyńska. Jest na to za naturalna i za skromna. Jej stosunek do człowieka jest pełen takiej samej sprawiedliwej surowości, jak stosunek do literatury. Wiem, że nie wypada mówić pani Poli komplementów i dlatego, zaraz się zawstydziłam, gdy powiedziałam, że coś w jej książce było „cudowne". A nuż weźmie to za głupi komplement. Dla zatuszowania całej sprawy, pytam na zakończenie wywiadu, co teraz pisze.

— Trzecią część „Dziewcząt z Nowolipek", która mnie niesłychanie absorbuje.

— Mianowicie, co najwięcej?

— Różnica między dziewczyną przedwojenną, a powojenną.

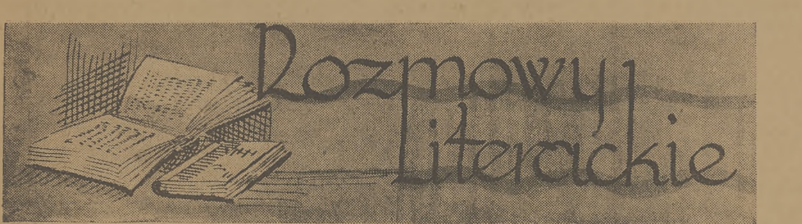
— Naprawdę bardzo ciekawe.

Choć mi tak dobrze w kręgu mądrego spojrzenia Poli Gojawiczyńskiej, zabieram się do odejścia. „Niedelikatność" została spełniona.

Wychodzimy obydwie z literackim podlotkiem w ciemność Rynku Starego Miasta. Wanda opowiada jeszcze ciekawe rzeczy o stosunku matki do ulubionych autorów. Słucham uważnie i myślę, jak ciężką musiała być ta droga do lauru Warszawy, zbudowana na trudzie samodzielnego wyrabiania sobie formy, wśród przeciwności dnia powszedniego.

Teraz, po rozłące z Ziemią Elżbiety, przyjdzie chwila pożegnania z Dziewczętami z Nowolipek. Narasta potrochu nowy etap w życiu Poli Gojawiczyńskiej. Zczasem opowie nam o niem po swojemu: mocno i pięknie.

Zofja Miszewska.



Odblaski wojny

Wojna stała się znowu modną w rozmowach kawiarnianych, w modzie kobiecej (te jakieś guziki i szamerunki) i w literaturze. Szczególnie w tej ostatniej. Abisynja tu, Abisynja tam! Zdaje mi się jednak, że to zainteresowanie dalekim i jak dotychczas nic nas nie obchodzącym konfliktem, jest grubo przereklamowane. Wojna, sama wojna jako taka, już nas nie olśniewa. Pamiętamy przecież aż nadto dobrze tamtą wojnę, zanadto bliską i zanadto groźną, żeby ją można tak prędko zapomnieć. Zresztą o tamtej wojnie ciągle przypomina nam książka. Nie odrzucamy jej z niechęcią, nie mówimy, że dosyć, bo wszelkie tamte przeżycia tak silnie się wiążą z dzisiejszą rzeczywistością, że trzeba je poznać do głębi, aby zdać sobie sprawę z tego co nas otacza.

I dlatego jeden z naszych pogodnych, spokojnych wieczorów literackich, postanowiłam poświęcić książce wojennej.

Jest tak cicho i zacisznie — można więc zaryzykować raz emocję silnych wzruszeń, aby potem tem mocniej ocenić dzisiejsze bezpieczeństwo. Nie będę rozpoczynała przeglądu książek wojennych, od „Na zachodzie bez zmian" Remarque'a. — Wszyscy o tej książce już bardzo dużo wiemy, ale pragnę pomówić o dwóch, bardzo różnych utworach, które rzucają ciekawe światło na zagadnienie wojny. Pierwszy z tych utworów to trylogja znanej autorki angielskiej, Ellen Smith, składająca się z trzech książek: „Pasierbice wojny", „Kobiety powojenne" i „Kobiety-cienie". Drugim utworem, o którym dzisiaj pragnę mówić, to Józefa Wittlina „Sól ziemi". Jest to pierwsza część trylogji „Powieść o cierpliwym piechurze".

Zanim przystąpię do omawiania trylogji Ellen Smith, muszę się głęboko zastanowić, jaki jest **mój** do niej stosunek. Trylogja ta jest książką tak przejmującą, że zwykła recenzja, stwierdzenie takich a takich walorów, oraz takich a takich braków absolutnie nie wystarcza. Jej ideologja — zdarcie patetycznej maski z oblicza wojny, godzi nietylko w nasze, pieczołowicie hodowane uczucie patrjotyzmu, ale targa węzły rodzinne, obala wszelkie wzniosłe ideały, pokazuje życie z jego najbardziej cynicznej strony. Mówi się głośno i z ubolewaniem, że książka ta jest boleśnie prawdziwą. Według mnie częściowo tylko. Prawdziwą jest prawdopodobnie gehenna młodych dziewcząt, które egzaltowany patrjotyzm, poczucie obowiązku lub, jak chce autorka, snobizm i egoizm rodziców, pchnęły na front. No i prawdą jest oczywiście, że wojna z tekstu patrjotycznych piosenek jest zupełnie inna niż wojna prawdziwa. Jedyny powód wyrywania się na front młodzieży płci obojej — wzniosłość poświęcenia w odcinkach przyfrontowych, milknie zupełnie, a do głosu dochodzą tylko złe moce, urabiające człowieka na swoją modłę. To wszystko mówi autorka w swojej trylogji i z tem oczywiście można się zgodzić.

Natomiast sedno całej książki — okrutny snobizm patrjotyczny rodziców wysyłających, choćby pod przymusem, dzieci na front, wydaje mi się poprostu objawem patologicznym. Może się, oczywiście, zdarzyć wypadki zezwierzęcenia, ale żeby cała Anglja, przykrywając twarz wzniosłemi hasłami, chciała sobie, kosztem śmierci i deprawacji młodych istot, wybudować pomnik bohaterstwa — w to nie chce się wierzyć. Nie znam patrjotyzmu angielskiego, znam natomiast patrjotyzm polski, i nie uważam go za gorszy. Ale jestem pewna, że polskie kobiety nigdy nie chwaliły się w tak niesmaczny sposób śmiercią i kalectwem wojennem swoich dzieci. Egoizm rodzicielski, czy idzie w tym, czy w innym kierunku — zawsze jest bardzo ciekawym tematem do dyskusji. Książka Ellen Smith, aczkolwiek często okrutna i niesprawiedliwa, jest jednak pięknie i ciekawie napisana.

Warto byłoby ją przeczytać i może nawet podyskutować. Łamy „Tygodnika Kobiety" stoją otworem.

Książka Józefa Wittlina przedstawia wojnę z zupełnie innej strony. Jest to nawet nie obraz wojny, a przygotowanie do niej, z którego jasno wynika dysproporcja, jaka panuje między machinacjami wielkich tego świata, a zrozumieniem prostaczka, w którego te machinacje uderzają.

Niema tu nawet ścierania się interesów jednostki i interesów grupy.

Stoją naprzeciw siebie dwa światy człowiecze: świat cesarzy, ministrów i dostojników — mniejszy, ale mocny, i świat szarego człowieka — wielki świat, pozbawiony wszelkiej siły.

Pełne braterskich uczuć serce autora, krzyczy, że temu drugiemu światu dzieje się wielka krzywda; pełen głębokich myśli umysł autora głosi, że między światopoglądem prostaczka, a światopoglądem filozofa niema wielkiej różnicy: każdy z nich wszelkie zagmatwania światowe widzi, jako walkę dobrego ze złem. Tylko prostaczek złe nazywa djabłem, a filozof tem, czego wymaga jego system.

Całe przeżycia bohatera powieści, głupawego Hucuła, Piotra Niewiadomskiego, polegają na mozolnem wykreślaniu granicy, między dziełem djabła, a dziełem Boga; cała filozofja, zawarta w książce, to demaskowanie tego djabelskiego oblicza, pokrytego warstwą szminki — różnorakiemi pseudo-ideałami. Ale jakiemi drogami dochodzi Wittlin do tego demaskowania? Są to słowa tak przedziwnie skrojone, że dźwięczy w nich i starodawny epos i jakaś gogolowska groteska i obrazy godne pendzla Chełmońskiego i — jakby wydobyte przez ołówek Czermańskiego rysunki.

Jest to trochę Szwejk, ale niezupełnie. Filozoficzny nurt zaprawiony dźwięczącym jak spiż patosem odejmuje książce tej cechy groteski, tak, że staje się ona raczej gorzką satyrą, niepozbawioną jednak poczucia humoru.

Tak samo zresztą postacie tej dziwnej powieści: są niby groteskowe, a jednak niepozbawione pewnych rysów patosu, który wzrusza i każe o nich długo pamiętać. I dlatego taki naprzykład Bachnatiuk, kochanek karaimowej wojny, regulaminu i subordynacji, napewno wejdzie w życie, i dlatego Piotr Niewiadomski, od tej chwili stanie się symbolem szarego człowieka. Jesteśmy niespokojni o jego dalsze losy, o losy Bachmatiuka, a także pułkownika Leithhubera, doktora Jellinka i wielu innych. Czekamy niecierpliwie na dalsze tomy trylogji, dzieło naprawdę wielkiego talentu.

Zofja Miszewska.

Na marginesie życia

KWIATY.

Proszono, wołano, obiecywano nagrody. Należało uratować opinję Warszawy, która kątami jest brzydka. Kątami tylko, wszyscy to wiemy.

I oto z podmiejskich ogrodów wywędrowały, tulące się tam do czerwonej kapusty i zielonej fasoli, pachnące petunje, krwawe pelargonje, wymowne bratki, wszystko co kwitnie, pędzi w górę, czy w dół, byle oko umilało.

Widziało się doskonale, że po tych setkach okien brać kwiatowa robiła, co mogła, za bardzo jednak u siebie jeszcze tego roku się nie czuła. Pelargonje mówiły, że są sztywne, że nie należałoby ich stawiać jak żołnierzy: jeden, drugi, a puste miejsce wewnątrz. Petunje mówiły, że prędko więdną i są wtedy tak suche, jak stare panny, co udają badyle i t. d. A mimo to kwiaty, na beznadziejnych fasadach potrafiły być wdziękiem, radością, magiczną szatą, jakiej Warszawa nigdy jeszcze nie miała.

— Radość dla oka, radość dla serca. Te kwiaty bowiem były dowodem, że tam za oknem żyje ktoś swój, pragnący iść ręka w rękę z tym sąsiadem z przeciwka i z owym z drugiej ulicy, i ze mną, która mu wdzięczna jestem, że pozwolił mi serdecznie o sobie pomyśleć.

Najbardziej wzruszające były domy na tych ulicach, o których się mówi, że są w dzielnicy północnej.

Taka brzydka, a taka poczciwa, ta dzielnica północna. Kilometrami ani jednego drzewa, a z balkonów ciekały powoli, kiwały ku przechodniom jakieś różne kwiaty, najwyraźniej pragnące w znoju dnia powszedniego, bladym przechodniom rzec:

— „Idźcie tam, skąd my rodem, po powietrze, zapach, słońce. Czy wolno tak bez końca dreptać i to latem, po tych smrodliwych, zakurzonych kamienicach".

I oto z kwiatami temi, w mury, między któremi żyją ci, co często nie wiedzą, czy jutro jeść będą, wszedł dostatek, weszła miłość.

— Czasem okna były małe, ale kwiaty się ich nie wstydziły. Rosły równie pięknie, jak gdzieindziej.

Czasem kwiatów nie było, ale to już przeważnie w dzielnicy południowej, w tej reprezentacyjnej. Takie Aleje Ujazdowskie, szczęśliwe, że są piękne same przez się. Tu z rzadka tryskały bukiety. Na frontonach pałaców i apartamentów — okna patrzyły na siebie pustką. Wiadomo, ciężkie czasy...

S. Jankowska.



Świat ekranu

(„Rapsodja Bałtyku". — Moda na Afrykę. — „Klasowość" w filmie amerykańskim. — Wycinek przedwojennej Rosji.)

Bardzo to dobrze, że oprócz błahych komedyjek, tworzy się też polskie filmy poważniejsze, a więc film tatrzańsko-harcerski „Dzień wielkiej przygody", albo morski — „Rapsodja Bałtyku". Ale źle jest, że te filmy poważniejsze są — poza wyborem tematu — nie lepsze od tamtych: albo nie mają szczęścia do scenarzystów, albo — do zespołu aktorskiego, albo do reżysera, albo do wszystkiego potrosze. „Rapsodja Bałtyku" to historja, jaką widziało się już wielokrotnie w filmach amerykańskich: dwaj przyjaciele, służący w marynarce, omal nie stają się wrogami — oczywiście z powodu kobiety, — ale w obliczu śmierci (hydroplan zbłąkany wśród burzy, musi wodować, bo zbrakło paliwa) następuje wyjaśnienie i okazuje się, że honor i przyjaźń są uratowane. Konflikt ten, przeprowadzony bardzo naiwnie, naszpilkowany, banalnemi djalogami, z których połowę możnaby wyrzucić — nie może zająć wybredniejszego widza. Powtarza się tu niewolniczo pewien amerykański szemacik, ale robi się to bez nerwu filmowego, koślawo jakoś i bez humoru. Nie mając żadnej tradycji morskiej, musimy, z natury rzeczy, początkowo opierać się na wzorach obcych, ale można by to przecież zrobić lepiej, tembardziej, że cała część marynistyczna wypadła zupełnie dobrze — oczywiście biorąc pod uwagę naszą zmniejszoną skalę, nie mogącą się równać z amerykańską. Reżyserja i montaż (L. Buczkowski) słabe, dużo scen zbyt krótkich i źle ze sobą połączonych, tworzy typową „siekankę".

Z zespołu aktorskiego w tym filmie, jedni są już skostnieli (sztywny Brodzisz, rozporządzający tylko dwoma wyrazami twarzy), inni jeszcze nierozwinięci artystycznie (Baśka Orwid), reszta zaś mniej lub więcej poprawna. Cóż z tego, że to „nasz" Bałtyk, „nasze" statki, „nasza" marynarka, kiedy film jest bez twarzy, bez charakteru i mógłby równie dobrze wyjść z wytwórni łotewskiej lub estońskiej.

Morze łączy nas z Afryką, a Afryka jest właśnie teraz modna, nietylko w polityce. Od początku sezonu, t. j. w ciągu dwuch miesięcy, oglądamy już drugi film afrykański. Pierwszy p. t. „Baboona" był to wspaniały reportaż znanej pary podróżników amerykańskich pp. Johnson, którzy dotychczas są bez konkurencji w umiejętności podchodzenia do najrozmaitszych okazów afrykańskiej fauny i chwytania ich na taśmę filmową. W „Baboonie", prócz cudownych zdjęć Czarnego Lądu z lotu ptaka (z samolotu), widzieliśmy jeszcze sceny z wewnętrznych spraw dżungli: „emigrację" małp., zwanych bakoonami, na nowe tereny strzeżone przez inny radzaj małp „makaków" — wojnę, odparcie najazdu nieprzyjaciela, niebezpieczną przeprawę przez strumień i t. p. emocjonujące przeżycia małpiego społeczeństwa, kierującego się własną „polityką". W drugim filmie afrykańskim „Bosambo" mamy politykę, jaką prowadzą anglicy w stosunku do dzikusów w Nigerji. Naturalnie, twórcom filmu chodzi o wywołanie w widzu podziwu i uznania dla tych rządów mądrych, sprężystych i sprawiedliwych. Dzikusów można ujarzmić tylko strachem, ale jeżeli ktoś zdradza taką inteligencję, jak czarny wódz Bosambo i zrozumie, że biali ludzie pragną jedynie dobra tubylców (sic!) — ten może zostać przyjacielem samego naczelnika okręgu, który go traktuje jak równego sobie i toruje mu drogę do... tronu, mianując królem wszystkich szczepów. Na dobro scenarzysty trzeba zapisać, że ten panegiryk na cześć władzy białych, (w tym wypadku anglików), zasnuł jednym znamiennym cieniem istnienie innych białych, którzy sprzedają dzikusom broń i alkohol, demoralizują ich i w krótkim czasie niweczą rezultaty tylu trudów wymagającej pracy wielkorządców tego kraju. A tak jak jedna jaskółka nie czyni wiosny, tak też jeden lojalny, a nawet oddany białym Bosambo nie ułatwi życia następcy idealnego naczelnika Sandersa. O tem powinni pamiętać... Włosi. Film więc można uważać za aktualny.

W „Bosambo" mamy wspaniałego murzyńskiego śpiewaka i aktora (Paul Roberson), którego piękny bas brzmi prawie operowo na tle zwykłego zawodzenia dzikusów. Wiele prawdy jest w folklorze tego filmu — trudno nam sądzić; wobec tepo jednak, że jest to rezultat pracy angielskiej ekspedycji, o czem świadczą choćby zdjęcia egzotycznego krajobrazu, którego autentyczność nie ulega wątpliwości — przypuszczamy, że i folklor nie jest całkowitem „bujaniem". Tylko angielskie rozmówki dzikusów sprawiają śmieszne wrażenie i osłabiają efekt. Reżyserja, poza niektóremi dłużyznami — poprawna.

Paul Muni jest to aktor, którego znamy już z bardzo ciekawego filmu o podkładzie społecznym p. t. „Jestem zbiegiem". Film ten był oskarżeniem amerykańskiego systemu sprawiedliwości i więziennictwa.

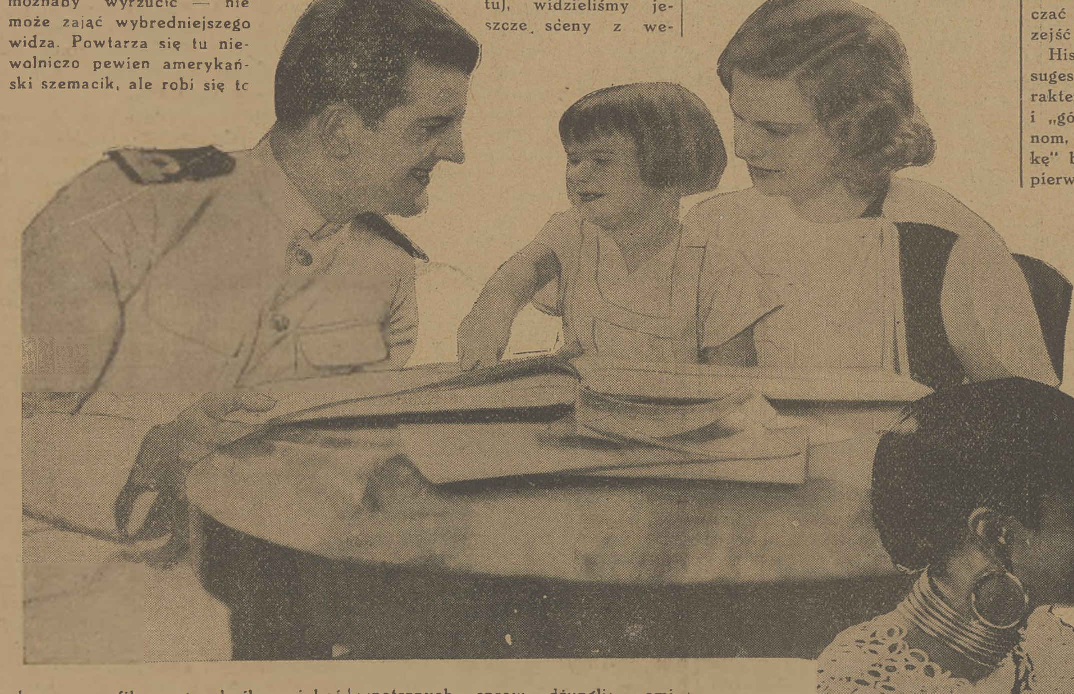
Tytuł obecnie wyświetlanego filmu brzmi niemniej bojowo („Walczę o życie") i ilustruje klasowe antagonizmy. Młody chłopak z ludu, zdolny i ambitny, nie może pomimo wszelkich wysiłków, wedrzeć się na wyższy stopień drabiny społecznej, bo „lepsze towarzystwo" otoczone jest jakimś niewidzialnym murem, którego nie mogą przebić ani pieniądze, ani wykształcenie. Za każdym razem gdy Juanito zdaje się być już bliski celu, o który walczy z zawziętością zwierzęcia — pada ofiarą jakgdyby jakiejś cichej zmowy i nigdy nie będzie dżentelmenem. nigdy nie będzie mógł kochać prawdziwej damy, ani zaliczać się do sfery inteligencji. Musi zejść tam, skąd przyszedł.

Historja ta opowiedziana jest dość sugestywnie, dzięki plastycznej charakterystyce obu środowisk — „dołu" i „góry", dzięki kilku mocnym scenom, ilustrującym mozolną „wspinaczkę" bohatera, nie dającego się zrazić pierwszem niepowodzeniem — oraz dzięki aktorowi, jakgdyby stworzonemu do takiej roli. Jego Juanito jest brzydki i wulgarny w miarę, ażeby fascynować rozpieszczone snobki, a nawet im trochę imponować, ale nie jest dość zręczny, ażeby skóra prymitywnego „caroman'a" nie wyłaziła spod eleganckiego fraka. Równie świetną aktorką jest Betty Davies, której głupia, lalkowata — z początku —twarz, zmienia się stopniowo, odzwierciadlając niezwykłe procesy psychiczne, jakie przeżywa kobieta, dążąca z takim samym uporem do zdobycia pożądanego mężczyzny, jak on dąży do przekroczenia niedostępnego progu „wyższego świata". Ze względu na niebanalny scenarjusz i świetną grę Muni'ego i Davis film wart obejrzenia.

W innym filmie „Oczy czarne" (reż. Turżańskij) mamy również świetną parę aktorów: niezawodnego Harry Baura i młodziutką gwiazdeczkę francuską, Simone Simon — a jednak nie polecałabym go tak bezwzględnie, pomimo zachwytu niektórych krytyków.

Turżanskij, emigrant rosyjski, mieszkający w Paryżu i pracujący dla francuskiej kinematografji, wraca chętnie do tematów z życia przedwojennej Rosji. Ale jest to właśnie materjał tak zużyty i wytarty w różnych „kiczach" filmowych, że trudno wyciągnąć z tego jeszcze coś zajmującego. W „Oczach czarnych" mamy przynajmniej trochę tej przedwojennej obyczajowości, tak dla nas dziś odległej. To też poszczególne epizody interesują nas więcej, niż sam konflikt, te panienki pilnie strzeżone przez guwarnantki, a mogące się wymykać na „randki", panienki wychowane na francuskich romansach, a nieświadome tego, co im grozi w garsonierze nieznajomego uwodziciela — jakiż to wierny obraz przedwojennego wychowania! Ta atmosfera zakłamania oddana jest bardzo dobrze i film mógłby być interesujący, gdyby nie tendencja reżysera do rozciągania niektórych scen i zupełnie niefilmowe zakończenie. Głównym grzechem scenarzysty i reżysera (a jest nimi Turżańskij) jest zakończenie filmu *opowiadaniem*, motywującem postępowanie Iwana Iwanowicza. Mową kina są obrazy. Djalog, a raczej monolog, trwający kilka minut jest na ekranie niedopuszczalny. To już nawet nie teatr, to — literatura. Simone Simon, z intuicją godną podziwu, wpadła od razu w ton i styl przedwojennej rosjaneczki, w czem — prócz talentu, oczywiście — dopomógł jej również typ urody (a raczej — brzydoty) poparty wdziękiem i młodością.

es-ha.





Sceny z filmów: „Rapsodja Bałtyku" i „Bosambo".



Pończochy

Złośliwy los zrządził, że właśnie kobiecie nowoczesnej, kobiecie zaprawionej do wielkich wysiłków fizycznych i umysłowych, przypadło w udziale noszenie ślicznej, lecz jakże niepraktycznej i frywolnej jedwabnej pończoszki, prawie nieznanej naszym babkom i prababkom. Jakgdyby jakiś figlarny chochlik rozmyślnie nakazał kobiecie-sędziemu i kobiecie-championce sportowej noszenie tak nietrwałych i zawodnych pończoch, aby sprowokować cały rząd tragikomicznych powikłań. Paradoksista wyraziłby się, że pończocha jest piętą achillesową nowoczesnej kobiety.

Powiedzmy to odrazu, — niema środka niezawodnego, zapewniającego względną nawet niezniszczalność pończoch. Zachowanie wszelkiego stanu posiadania wymaga bezustannego wysiłku i ciągłej czujności, — tembardziej zaś, gdy chodzi o rzeczy tak kruche i nietrwałe, jak jedwabne pończochy, jak młodość i uroda, jak szczęście małżeńskie, jak pokój światowy.

Jedno spostrzeżenie ułatwi może sytuację. Często z dwóch bliźniaczo do siebie podobnych braci, wychowywanych razem w szkole i domu, jeden zwycięsko walczy z przeciwnościami, drugi zaś ginie w pierwszej burzy życiowej; tak samo z pary identycznych pończoch jedna zwykle wykazuje w użyciu pewną trwałość, podczas gdy druga rwie się, pęka, niszczeje. Pewien przemysłowiec w Stanach Zjednoczonych, opierając się na doświadczeniu, zapoczątkował fabrykację kompletów pończoch, składających się z trzech sztuk, obliczając, że gdy jedna pończocha się podrze, a druga się zachowa w całości, — trzecia — zupełnie nowa — będzie pod ręką. Inowacja ta podobno miała powodzenie. Wychodząc z tej samej zasady, doradzić można kupowanie jednocześnie 2-ch par w tym samym kolorze i gatunku, a szanse zachowania przy życiu przynajmniej jednej pary z dwóch, są niewątpliwie większe, niż przy pończochach rozmaitego rodzaju i gatunku.

Cienkie jedwabne pończochy, które nie „puszczają oczek" przy każdym gwałtowniejszym ruchu, istnieją, — lecz tylko w filmach. Bohaterka, po przebyciu niezliczonych perypetyj, jak to: wyskakiwanie z płonącego domu, przebycie wpław szerokiej rzeki, jazda na rozhukanym koniu przez prerje, ukazuje na ekranie nieskazitelną ondulację, maquillage bez zarzutu, a pończochy... bez najmniejszego defektu.

B. Abramska.



Przed południem i popołudniu

Granice, oddzielające sportowo-pracowite poranki od towarzysko-strojnych popołudni, ostre są i wyraźne... zagranicą. Godziny posiłków, przestrzegane przez ludzi z Zachodu z pedantyczną, nieraz irytującą nas, słowian, dokładnością, rozcinają dzień na części równe, doskonale zróżniczkowane. Formy życia towarzyskiego nie pozostawiają domyślności i indywidualności uczestników żadnego marginesu.

Śniadanie, to może znaczyć tylko — śniadanie; czyli suknia czy komplet przedpołudniowy, kapelusz (którego się nie zdejmie), rękawiczki (które się zdejmie dopiero przy stole), torebka i obuwie spacerowe.

Herbatka popołudniowa (5—7) — suknia pół-długa, z ciemnego jedwabiu, kapelusz (którego się znowuż nie zdejmie), rękawiczki z miękkiego zamszu, torebka fantazyjna, obuwie na francuskim obcasie.

Zebranie wieczorne — tualeta wieczorowa, długa aż do ziemi (może być i z trenem). Głębszy dekolt wtedy tylko, o ile zapowiedziany jest bal. Kapelusz niedopuszczalny — chyba jakaś szczególnie eteryczna i strojna kreacja wieczorowa. Długie rękawiczki, pantofelki płyciutkie z jedwabiu, lub brokatu. Do tualety głęboko wyciętej zarzutka futrzana, lub velour'owa (sortie).

To wszystko — zagranicą.

U nas inaczej, inaczej, inaczej... Trwamy w nieświadomości, co, jak i kiedy; żyjemy w dręczącej niepewności dnia i godziny. Wracamy do ognisk domowych po dniu męczącej pracy, ciesząc się na rozkoszne odprężenie nerwów w samotności i ciszy, albo na wypoczynek w najbliższem rodzinnem gronie — zastajemy dom pełen kochającej a dalekiej i rzadko (na szczęście) widywanej rodziny. Wdowa po nieboszczyku stryju, wraz z córką, zięciem i trojgiem dorastających wnuków, która postanowiła sprawić „niespodziankę", i jak grom z jasnego nieba zwaliła się w obiadowej porze. Po obiedzie, zięć stryjenki samorzutnie telefonuje do wspólnego kuzyna i, ku bezsilnej rozpaczy pani domu, improwizuje się bridge. Człowiek zaledwie znajduje czas na „zaimprowizowanie" kanapek — ktoby mógł nawet myśleć o „zrobieniu się" na popołudniowo.

Zapraszają nas na skromną, popołudniową herbatkę (niech kochana pani przyjdzie prosto z biura, bez ceremonji — będą sami swoi). Przychodzimy i zostajemy złapane, wciągnięte w całonocną zabawę z tańcami, koncertem, morzem trunków i gorącą kolacją. Zabawa jest zresztą najwzględniejszem z pojęć — żadna kobieta nie potrafi się dobrze bawić w wełnianej sukni i sportowych trzewikach tam, gdzie znajduje się chociaż jedna przedstawicielka jej płci, zbrojna w kompletny wieczorowy rynsztunek.

Piszę to wszystko nie poto, by komuś sprawić przykrość (mam serce gołębie), ani też w naiwnej nadziei na czyjąś skruchę i poprawę (jesteśmy społeczeństwem indywidualistów niepoprawnych i nieuleczalnych).

Poprostu mając wraz z czytelniczkami rozważyć dylemat ubrania przed i popołudniowego, nie mogę pominąć milczeniem piętrzących się stromo, na samym wstępie, trudności natury obyczajowej.

Pisząc dla środowiska o znormalizowanych stosunkach towarzyskich, napisałabym: — w biurze i w domu, przed południem, w sezonie jesienno-zimowym — sukienka czy garsonka z wełnianego trykotu; na posiedzenia, wernisaże, śniadania i t. p. przedpołudniowe okazje towarzyskie — suknia z ciemnej wałny, jednobarwnej lub przerabianej; kapelusik filcowy. Na zebrania popołudniowe — czarny jedwab, złocone rękawy - balony, szeroki pasek z metalowej skórki czy plecionki ze złotego sznura. Beret z aksamitu, albo najmodniejszy kapelusz-przyłbica (chapeau visière) z antylopy.

No, ale w naszych warunkach dylemat polega na tem, aby znaleźć coś, coby było en tout cas, jak parasol: i na rano, i na popołudnie i żeby w tem odbiedy, jakby nagle powstał taki projekt, można było pójść do teatru.

Trykoty (tyle praktyczne), wełny przerabiane (tyle przez obecną modę faworyzowane) odpadają. Pozostaje jednobarwna i ciemna wełna matowa, niechwytnem zmechaceniem gładkiej swej powierzchni zbliżona do najmodniejszych tkanin jedwabnych. Krój sukni równy, płaszczowy. Wąskie a głębokie (prawie do paska) rozcięcie z przodu ujawnia jasną komizelkę z połyskliwego satin, matowej krepy, prążkowanej piki... Kamizelki takie można zmieniać jak koszule, osiągając niekończącą się niemal rozmaitość efektów. Suknia tego typu nie wyda się zbyt strojna w biurze, ani zbyt skromna w teatrze (w dzień niepremjerowy).

Inny rodzaj o rozciągliwej skali zastosowań — suknia z wełny czarnej, albo granatowej, zakończona wąskim stojącym kołnierzykiem, ozdobiona szamerunkiem z jedwabnego sznura, zahaczonym o okrągłe guziki z polerowanej stali.

Ukłon przed modnym obecnie militaryzmem, i uwaga: — kapelusz do takiej sukni może, a l e n i e m u s i, być ozdobiony pękiem piór z koguciego ogona.

Wiele trudności natury towarzysko - toaletowej rozwiązuje rozpowszechniona obecnie moda aksamitów. Suknia z aksamitu ciemnego (czarnego, granatowego, bronzowego, ciemno zielonego, czy bordo), uszyta krojem garsonki, spięta na klamrę i guziki z mlecznobiałego galalitu, czy szkła — może towarzyszyć swojej właścicielce zawsze i wszędzie przez cały dzień, za wyjątkiem, oczywiście, wielkich, reprezentacyjnych bali, przezornie zastrzegających „strój wieczorowy" przy redagowaniu zaproszeń.

Well.

Dbajmy o zdrowie i urodę

Włosy

W zewnętrznej postaci współczesnej elegantki, włosy traktowane są najbardziej „po macoszemu".

Och, zapewne, dba ona o efekt, maluje je, tleni, ondeluje przy pomocy wszelakich „ulepszonych" aparatów i t. p. Właśnie dlatego jednak są te biedne włosy niezmiernie poszkodowane. Bierzemy od nich wszystko— nic im wzamian nie dając.

Prawda, współczesna kaofiura nie wymaga nadmiernie bujnego uwłosienia, a nawet wręcz przeciwnie. Fryzjerzy wystrzygają dyskretnie włosy, „aby lepiej leżały". To też włos współczesnej kobiety, oglądany w jaskrawem świetle dnia, wygląda martwo, brzydko, mówi o sztuczności naszego życia, sztuczności estetycznych efektów, o „sztuczności" samychże kobiet...

Trafia się czasem zdrowa czupryna, połyskliwa, miękka, prawdziwa, ponętna. Oko spoczywa na niej z ulgą: nareszcie...

Nie rezygnujmy z królewskiej ozdoby naszych głów. Włos wymaga tłuszczu. Po letnich wywczasach, lub okresach wysuszania go przez fryzjerskie zabiegi, a więc „nadużywania" naszych włosów, dajmy im parę (lepiej jeszcze kilkanaście) dni odpoczynku. Umyjmy je same w miękkiej wodzie deszczowej, bez dodatku gryzących specyfików. Po osuszeniu — namaśćmy tłuszczem skórę głowy zapomocą waty tak, aby cały włos mógł się nasycić tłuszczem.

Fryzjerzy i zakłady kosmetyczne rekomendują często w tym celu wyborne specyfiki, aczkolwiek można do tego użyć z wielkiem powodzeniem świeżego, niesolonego tłuszczu wieprzowego, albo oleju rycynowego. Środki tanie, a nadzwyczaj skuteczne.

Po nasyceniu włosów tłuszczem, należy je pozostawić w spokoju przynajmniej przez kilka godzin, a jeśli to możliwe — przez parę dni, zanim umyjemy je powtórnie w miękkiej wodzie z mydłem, osuszymy i udamy się do fryzjera.

Masaż skóry głowy, wykonywany codzień, lub przynajmniej co kilka dni, samym naciskiem końców palców, a także „przewietrzanie" włosów po uwolnieniu ich na kilka godzin od siatek, grzebyków, szpilek i t. p. daje doskonałe rezultaty. Trzeba jednak pamiętać o tem, że wyraźne skutki naszych zabiegów, gdy chodzi o włosy, uwidocznią się dopiero w całej pełni, po upływie kilku, miesięcy, a nawet roku.

V.

Łazienka

Sprzymierzeńcem piękności i zdrowia jest bezwzględnie łazienka. Łazienka, dla współczesnej kobiety, to komnatka otoczona największą pieczołowitością.

Pominiemy milczeniem wspaniałe salki kąpielowe luksusowych apartamentów, o wannach zbytkownych, skonstruowanych z wyszukanem „smakoszostwem", o ścianach wykładanych lustrzanemi taflami, zwielokratniającemi piękność kąpiącej się damy. Skromna nawet łazienka, w przeciętnem mieszkaniu urzędniczki, dziennikarki, czy nauczycielki, może tchnąć elegancją i wdziękiem.

Biało lakierowane półki, odpowiednio rozmieszczone na ścianach i obciążone baterją słoików, pudelek o niklowanych pokrywkach, kompletami szczotek i szczoteczek. Jasno malowane ściany, dobre lustro o 3 taflach. Ostre oświetlenie, wydobywające na jaw wszystkie defekty urody, niska szafka, również biało-lakierowana, a kryjąca akcesorja mało dekoratywne, choć konieczne; — taboret, plecionka na chłodnej, kamiennej podłodze, wieszaki dla dobrego rozmieszczenia ręczników, — oto prawie wszystko, co należałoby umieścić w łazience. Nigdy nie należy czynić z niej przygodnego składziku brudnej bielizny, desek do prasowania i t. p.

Znamy niejedną kobietę, która wyrzekłaby się raczej salonu, czy jakiegokolwiek innego pokoju, niż łazienki. W łazience, zmordowana pracą i troskami — zostawia zmęczenie i zły humor... Wychodzi z niej odrodzona fizycznie, promienna i lepsza...

V.

Kultura jedzenia

„Nie lubię szparagów, bo ciekną do rękawa, nie lubię też groszku, bo spada z noża, nawet melona nie lubię, bo uszy wala", — powiedzonko przypisywane całemu szeregowi osób, którym w młodości brakło tego, co z niemiecka nazywamy „Kinderstube"

Anegdota prawdopodobnie zmyślona, lecz bardzo charakterystyczna.

Jedni nie umieją, inni chcieliby a nie potrafią, inni wiedzą jak, lecz nie chcą sobie zadać fatygi — a w rezultacie, w sprawach spożywania posiłków, daje się u nas zauważyć brak kultury. Wyrażenie dokładnie obrazujące stan, wywołany przez niedbalstwo nietylko nieumiejętnej służby, na którą zwykliśmy zwalać wszelkie wady i niedociągnięcia kulinarne, ale pań domu, domowników, a nawet — gości.

Służba grzeszy przeważnie niedbalstwem podania potraw na codzień, a estetyka jest podstawową częścią gastronomji. Gorszym jednak od niedbalstwa jest pociąg do zdobnictwa, do ornamentacji.

Rzeczą pani domu jest nauczenie pracownicy umiaru w zapędach dekoracyjnych. Pomocą jednej i drugiej będą nowoczesne książki kuchenne, zaopatrzone w kolorowe ilustracje i to ilustracje takie z prawdziwego zdarzenia, na codzień, a nie jak w dawnych, francuskich dziełach kulinarnych, potrawy-monumenta, na które oprócz kilku gatunków drobiu, zwierzyny lub ryb, składało się dużo artykułów niejadalnych, w rodzaju róż z surowych buraków i marchwi, dotąd u nas stosowanych przez kucharki starego typu, przy zdobieniu ryb w galarecie lub majonezie.

Kultura jedzenia pani domu wyraża się głównie w układaniu jadłospisów. Oczywiście tutaj brak czasu i miejsca do szczegółowego rozpatrywania wad naszych polskich jadłospisów. Ogólne uwagi mogą się tylko tyczyć unikania monotonji w ich układzie, przez możliwe urozmaicenie, wprowadzenie nowych dań, nowych sposobów ich przyrządzania, dodanie drobnych, niekosztownych przystawek, większe uwzględnienie jarzyn, zielonych sałat, surówek, owoców i przetworów owocowych.

Na kulturalne traktowanie sprawy odżywiania przez panią domu, powinny się składać w równej mierze estetyka podania, wytworny smak najprostszych dań, ich kolejność, dbałość o względy zdrowotne rodziny.

Są to tematy bardzo obszerne, do których mam nadzieję móc nieraz wrócić. Więc przejdę do domowników.

Najwięcej grzechów popełnia powojenny pan domu.

Oczywiście, nie mówię tu o szczęśliwcach i dosyć licznych wyjątkach, jak w gramatyce, potwierdzających prawidło.

Nie wymagajmy od spracowanego człowieka fraka lub smokinga, bez którego nie siądzie do obiadu, chcący za gentlemana uchodzić anglik, ale poco, zanim podadzą zupę, już zrzuca marynarkę i półbuciki, a wkłada wytartą pyjamę i rozdeptane pantofle? Wszak na to patrzą dzieci i uważają, że tak należy, bo tak właśnie robi tatuś? Nawet rączek myć nie chcą przed obiadem — bo tatuś ich nie myje... Poco wszystkie przykrości biurowe i materjalne używać za jedyny temat do rozmowy przy obiedzie lub kolacji? Poco robić piekło o zbyt skromne menu, będące wynikiem ciężkiego końca miesiąca? Czemu w czasie posiłku czytać gazetę, maczając jej brzegi w zupie lub sosie? Czemu palić papierosy zaczynając już od zupy?

A obecna młodzież. Zdawałoby się, że młode pokolenie, wyrosłe w cięższych warunkach materjalnych, nie powinno mieć dużych wymagań gastronomicznych. Otóż zamiast wymagań, ma grymasy. Znam domy, gdzie każde z dzieci czegoś innego nie je i gdzie każdy posiłek składa się z samych „osóbek". A jeżeli i taka „osóbka" się nie podoba, to się ją rozmazuje po talerzu i odsuwa z hałasem, wołając: „Walerciu, a nie ma tam dzisiaj dla mnie czegoś jadalnego?!"

Goście, jak to goście, oczywiście, zachowują się z większą rezerwą. Jednak od głośnego stwierdzenia, że się czegoś nie lubi, kiedy właśnie to coś jest na stole, możnaby się powstrzymać i nawet nielubianej potrawy nabrać trochę na talerz i udać, że się ją spożyło. Jeszcze gorszem jest żądanie czegoś, czego niema na stole, bo najczęściej tego niema i w śpiżarni, — naprzykład piwa, kiedy do obiadu lub kolacji jest wino,—musztardy, kiedy do ryby lub mięsa chrzan podano, czarnego chleba, kiedy na stole stoi tylko pszenny.

Największy brak kultury w jedzeniu można zauważyć na zebraniach większych, na których zastawione są duże bufety zimne.

Już nie mówiąc o tem, że ludzie, nie jak w pierwszych latach powojennych wygłodzeni, tłoczą się przy bufecie, jakgdyby się bali, że dla nich zabraknie. Zajrzyjmy w ich talerze. Oto niosą zdobyte łupy, aby je spożyć gdzieś w spokojniejszym kącie.

Panowie szarmancko usługują damom. Przedewszystkiem więc przynoszą — kawałek drobiu lub zwierzyny z ostrą sałatką, lub sosem tatarskim, przeznaczonemi do ryby, poczem sami zaczynają posiłek od kawałka indyka z rodzynkami.

Dopiero, kiedy danie mięsne zniknie, uwaga gości skierowuje się ku rybom, do których się bierze nietylko „cumberland", lecz i borówki, bo te właśnie pozostały na stole. Że przy tem torty zwykłe i kremowe bywają spożywane pomiędzy mięsiwem i rybami, nikogo nie dziwi. Cudzoziemcy tylko widząc, jak pomiędzy temi, dziwnemi kombinacjami, polacy zamiast wina, piją kolejki wódki, lekko wzruszają ramionami i piszą szeroko o norodowym trunku polaków, którym jest „la vodka russe".

Jeżeli takie wybryki smakowe są tylko dziwne na przyjęciach publicznych, to w domach prywatnych do rozpaczy przyprowadzają gospodynie.

Kolacja siadana, w obecnych czasach, jest rzeczą bardzo rzadką. Przyjmuje się nieczęsto, a ma się dużo przyjaciół i znajomych.

Jedynem wyjściem jest urządzenie kolacji zimnej, w której może brać udział tyle osób, na ile przygotowanych dań starczy. Gospodyni z największą starannością dopilnowuje, aby służba ustawiła przy gorącym pasztecie sos również gorący, przy rybie chrzanowy zimny i tatarski, czy majonezowy, przy drobiu i zwierzynie sałaty i kompoty, ewentualnie jakiś „groseille" lub „cumberland". Goście się zabierają do jedzenia i po chwili przerażona gospodyni widzi, jak jeden jarosz nakłada sobie na talerz połowę wszystkich winogron z kosza z owocami, a inny, paszteciki, przeznaczone do barszczu, polewa obficie cumberlandem...

Oczywiście, nie można bronić nikomu bawić się, jak mu się podoba. Ale zachodni Europejczyk od dziecka przywykł do tego, że się zaczyna od dań ostrych, a kończy się na deserze. Narody wschodnie, naprzykład turcy mają odwrotny układ jadłospisów i zaczynają posiłek od słodyczy.

No a my — rzeczywiście, jesteśmy pośrodku, — więc jak kto chce.

Elżbieta Kiewnarska.

Służba domowa

II.

W ścisłym związku z podniesieniem uzdolnień fachowych służby domowej, narzuca się konieczność podciągnięcia jej pracy do godności zawodu, jak również unormowania i chronienia praw zawodowych jej przedstawicielek.

I tu stajemy wobec trudności, jakie stwarza zupełny brak uświadomienia w dziedzinie praw obowiązujących — zarówno służbę domową, jak i często same panie domu. Stopniowo wchodzi w życie cały szereg nowotworzących się norm. Mają one na celu określenie i ustalenie stosunków wzajemnych pomiędzy pracodawczyniami i pracownicami.

Koniecznością, więc ze strony pań, jest zapoznanie się z uprawnieniami dotyczącemi służby domowej. A obowiązek moralny nakazuje im pouczanie pracownic nieświadomych o ich uprawnieniach. Nie należy się przytem obawiać owych uprawnień, gdyż w istocie swego założenia, są one wyposażone w ten ważny moment pedagogiczny, że określają nietylko jednostronne przywileje służby, ale i jej obowiązki względem pracodawczyń.

A nie zapominajmy, że dla trwałego wypracowania norm określających współpracę i współobcowanie, nieodzowne jest staranne wytyczenie praw i obowiązków stron obu i pań domu i ich pomocnic.

Służba domowa w Polsce jest elementem płynnym. Rekrutuje się z dziewcząt ze wsi i przedmieść, wypchniętych z domów rodzinnych przez konieczność pracy. I jak już zaznaczaliśmy — bez przygotowania. Ugotować, uprać, zabawić dzieci — każdy potrafi.

Dotychczas nie posiadamy żadnej ustawy o służbie domowej, mimo usilne zabiegi, czynione u władz przez Związek Pań Domu, który opracował w swoim czasie dezyderaty do noweli do ustawy o pracownikach fizycznych.

W związku z tem, służba domowa nie może być włączona do Izb Rzemieślniczych, a praca jej — jedyny zresztą środek zarobkowania, nie może być traktowana, jako fach.

Służba domowa jest rejestrowana w Państwowym Urzędzie Pośrednictwa Pracy i jak dotąd, nie posiada żadnych znormalizowanych dowodów osobistych. Przed trzema laty Wydział Służby Domowej przy Związku Pań Domu, usiłował stworzyć ujednostajnione legitymacje dla służby, w postaci książeczek rozrachunkowych. I nawet Urząd Pośrednictwa wydał ośm i pół tysiąca książeczek. Jednakże brak powtórnego ukazania się rozporządzenia o rygorze książeczek w Dzienniku Ustaw, wstrzymał dalsze ich wydawanie. Jest to z wielką szkodą dla pań domu i dla służby domowej, ponieważ legitymacja-dowód nadałaby służbie domowej charakter zwartej pednolitości, właściwej wyodrębnionemu zawodowi.

A tak wszystko jest niezmiennie w stanie płynnym; nietylko uzdolnienia i kwalifikacje, ale nawet osobowość pracownic domowych.

W związku z brakiem określonych uzdolnień, służba nie ma określonych wysokości wynagrodzenia. Przy każdej zmianie „obowiązku" jakość pracownicy jest dla pracodawczyni — zagadką, a wysokość żądanego przez pracownicę wynagrodzenia — hazardem.

Na dobitek wszystkiego, pracownice nie są świadome swych obowiązków obywatelskich. Wszystko to sprzyja znakomicie rozwojowi tej wzgardy i nienawiści, jaką otaczają pracę gospodarską same pracownice, a z niemi ich pracodawczynie i ogół społeczeństwa.

Doniedawna służba domowa nie ponosiła żadnych ciężarów na rzecz Państwa, ani na rzecz własnych zabezpieczeń. Opłaty, istniejące od paru lat za Kasę Chorych, uiszczały zazwyczaj same panie domu.

Nowa ustawa scaleniowa, obowiązująca w obecnej Ubezpieczalni Społecznej, która zastąpiła dawny typ Kasy Chorych, ma na celu z jednej strony zapewnienie służbie korzyści emerytalnych, z drugiej strony, obciąża pracownice udziałem w opłatach własnych ubezpieczeń, podobnie jak to ma miejsce we wszystkich zawodach.

Składki, przypadające na panie domu i na pracownice, muszą być normowane według tabeli rozrachunkowych poszczególnych ubezpieczalni okręgowych.

Wdrożenie służby domowej do wypełniania tej ustawy po obywatelsku i nie uchylania się od składek — jest obowiązkiem pań domu.

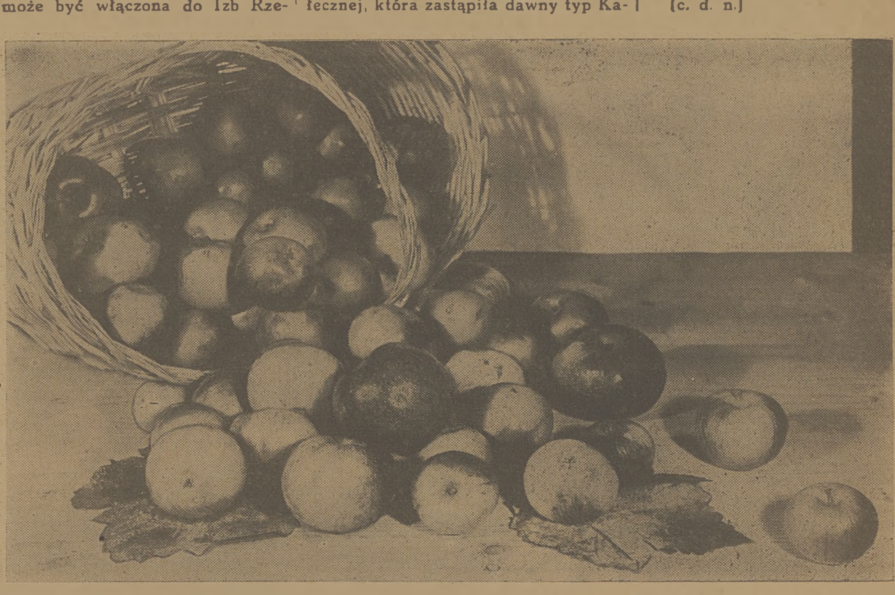
Ponieważ składki pracodawczynie obowiązane są wpłacać do Ubezpieczalni Społecznej do dnia 10-go każdego miesiąca, za miesiąc ubiegły, część przypadającą na pracownicę należy potrącać z każdomiesięcznej pensji, którą ona pobiera „z dołu". Przyczem z jednomiesięcznego wynagrodzenia pracownicy, odliczyć wolno ustawowo tylko za jeden miesiąc. Dlatego, w interesie własnym, przestrzegać należy regularności czynionych potrąceń.

Meldowanie do Ubezpieczalni nowoprzyjętej pracownicy musi być dopełnione współrzędnie z meldowaniem jej w administracji domu, a więc po upływie jednej doby. Niedopełnienie tej formalności może pociągnąć za sobą przykre konsekwencje, dopełniane drogą nakazów administracyjnych. Pragnąc mieć podstawy do wymagania od służby domowej sumiennego wypełniania podjętych obowiązków, samemu należy przestrzegać pilnie własnych zobowiązań względem służby.

Podstawę tu stanowi regularne wypłacanie umówionego wynagrodzenia. Zaleganie w rachunkach obniża w pojęciu pracownic powagę ich pracodawców, wnosi pierwiastek nieufności i lekceważenia we wzajemne stosunki, a niekiedy tak komplikuje codzienność współżycia, że staje się ona nie-do-zniesienia... i kończy konfliktem.

O racjonalnem załatwianiu zatargów, wynikłych ze służbą domową, podebatujemy za następnym razem.

(c. d. n.) *M. A.*





Źródło zdrowia

Nauka o racjonalnem odżywianiu wskazuje na ważkość sprawnej przemiany materji. Jak ją usprawnić? Przedewszystkiem przez wprowadzenie do organizmu odpowiednich pożywek i to w ilościach wskazanych.

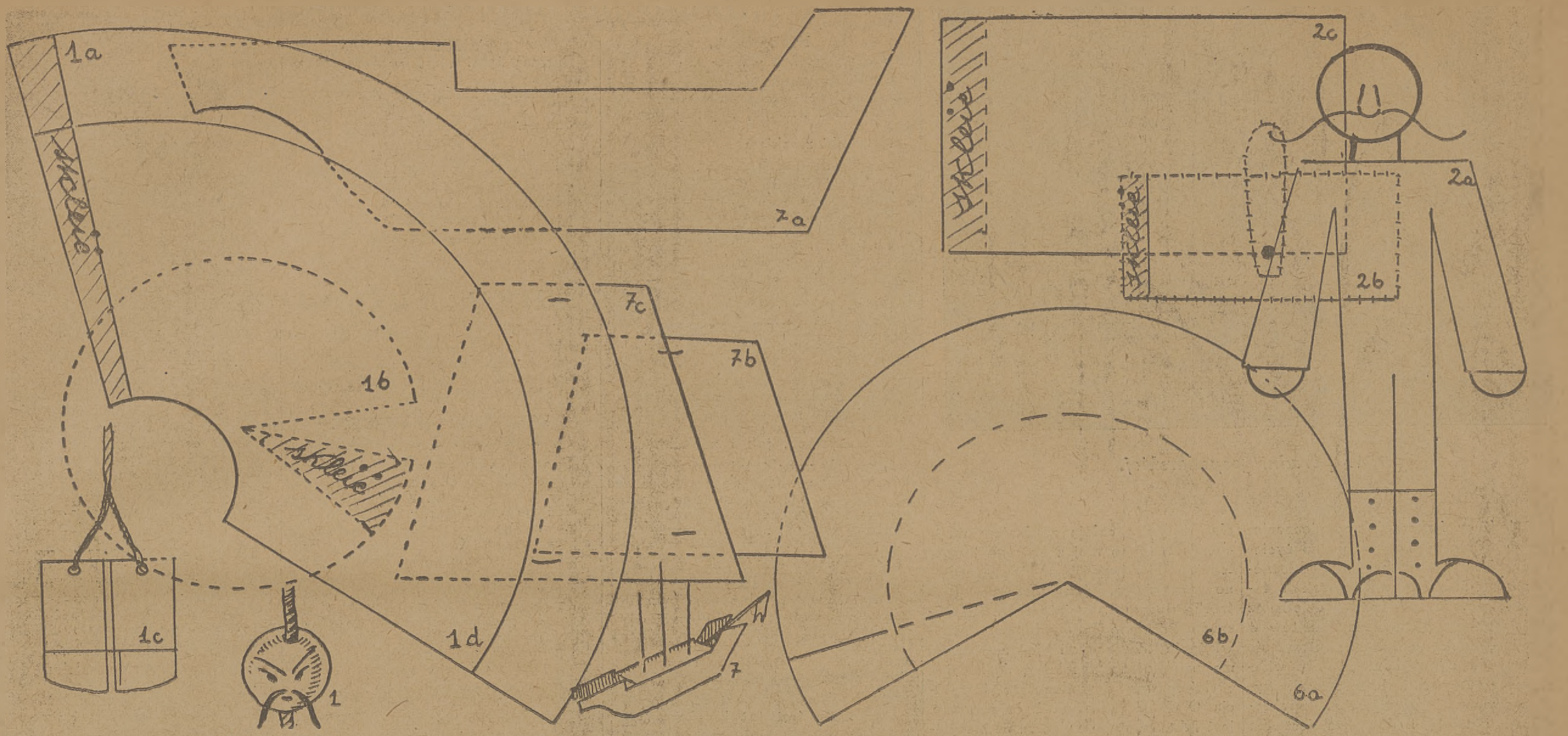
Wiemy już dzisiaj o tem wszyscy — natomiast nie wszyscy doceniamy doniosłość krótkich okresów całkowitej zmiany sposobu odżywiania. Polega ono przedewszystkiem na dobroczynnem działaniu kuracji owocowej. Oprzyjmy ją dzisiaj na jabłkach — owocach krajowych. Trzydniowa kuracja jabłeczna oparta na spożyciu 1 kg jabłek dziennie pod postacią czy to surowego owocu, czy też kompotu, dopomaga wydajnie do oczyszczenia organizmu ze szkodliwych nieprzerobionych, a tem samem zatruwających go zapasów.

Takie „usprawnienie" przemiany materji stosowane raz na miesiąc albo raz na dwa tygodnie jest poczęści samoobroną przed chronicznemi schorzeniami powstającemi właśnie na tle złej przemiany.

X.



1. Chińczyk. Wycinamy wycinek koła z kartonu (rys. 1a) i oklejamy go bibułką szafirową w kwiaty, lub kretonem. Następnie wycinamy wycinek z mniejszego koła i też oklejamy go bibułą w kwiaty lub kretonem, ale tym razem żółtym. Po oklejeniu z wycinków sklejamy stożki dwa bez czubków. Z dużego żółtego paciorka drewnianego robimy głowę. Malujemy chińskie skośne oczy i przyklejamy wąsy z włóczki. Styłu głowy przyklejamy warkocz pleciony z włóczki lub rafji czarnej. Nogi wycinamy z tekturki podług rys. 1c i malujemy na czarno butki, następnie przyczepiamy je jak na rysunku do grubej bawełny na którą nawlekamy dwa stożki, najpierw większy potem mały, a następnie głowę. Na głowę robimy kapelusz z koła (rys. 1b) naciętego i sklejonego w płaski stożek. Po nawleczeniu kapelusza ostatniego, zawiązujemy węzełek nad nim, żeby się chińczyk nie rozsuwał. **2. Żołnierz.** Wycinamy z tektury figurkę 2a. Twarz naklejamy z różowego kartonu z naciętym nosem. Przyklejamy wąsy z włóczki. Buty czarne, białe kamasze. Czapka wiśniowego koloru, kita srebrna — 2b. Kubrak wiśniowy na nim nakleić mankiety i skrzyżowanie srebrne — 2c. Kubrak i czapkę skleja się jak walec. **3, 4, 5. Świnki.** Świnki kalkujemy na tekturkę i wyklejamy kolorowemi papierami. Wieszamy je w sąsiedztwie na drzewku. **6. Dziewczynka.** Dziewczynkę robimy jak chińczyka, z tą różnicą, że na głowie chusteczka z kawałka kretonu w kwiaty, w ręku dwa koszyczki lub węzełki. Chusteczka to wycinek koła rys. 6b. Spódniczka to rys. 6a. Głowa z drewnianego paciorka różowego i dwa jasne warkoczyki z włóczki. **7. Okręt.** Na pudełko z zapałek (małe) lub pudełeczko płaskie z tektury naklejamy boki okrętu rys. 7a z kartonu szafirowego. Trzy patyczki, dwa długości 9 cm., jeden 11 cm. wbijamy w pudełko jak na rysunku 7. Trzy żagle (rys. 7b i 7c) ze srebrnego papieru nawlekamy na patyczki i łączymy je z pokładem złotemi nitkami. Na masztach kolorowe chorągiewki z papieru. Na burcie reja z patyczka z chorągiewką. **8. Łańcuch z kółek** wycinanych z kolorowego papieru. Między dwa kółka równej wielkości wlepiamy nitkę. Kółko jedno od drugiego oddzielamy nawleczonemi na nitkę słomkami i kwadracikami z kolorowego papieru. **9. Łańcuch z rybek.** Rybki wycinamy z papieru złotego lub srebrnego, oczy i łuski rysujemy czarnym tuszem. Zlepiamy je po dwie i łączymy nitką na którą naciągamy słomki i małe kółeczka, lub kwadraciki wycinane z dwustronnie kolorowego papieru.



Jak wyprowadzać na spacer małe dzieci

Sprawa wyprowadzania na spacer małych dzieci, nasuwa często szereg wątpliwości. Kiedy po raz pierwszy wyprowadzić dziecko na spacer? Jak je ubrać? Jak długo trzymać na świeżem powietrzu? i t. d.

Zajmiemy się zatem sprawą przechadzki dzieci w wieku do lat dwóch.

Kiedy należy dziecko wyprowadzić poraz pierwszy na spacer? Przedewszystkiem trzeba wziąć pod uwagę porę roku. Latem można dzieci zacząć przyzwyczajać bardzo wcześnie do świeżego powietrza, ponieważ okna mogą być otwierane nawet przy noworodkach, a na spacer regularny można wyprowadzić dziecko już w trzecim — czwartym tygodniu życia. W chłodnej porze roku natomiast, należy dziecko przyzwyczajać stopniowo do przechadzki. Robimy to w ten sposób, że dziecko ubrane jak do wyjścia (o czem niżej), ustawiamy w pokoju, w odległości kilku metrów od okna, na przeciąg kilkunastu minut, — codzień, stopniowo, przedłużając czas trwania tego spaceru pokojowego, zmniejszając przestrzeń pomiędzy oknem a dzieckiem. Rozpoczynamy to, gdy niemowlę ma cztery tygodnie. Po tygodniu takiego hartowania, można wyprowadzić dziecko na ulicę. Rozpoczynamy od 15 minut (zimą), lub pół godziny (jesienią i wiosną), stopniowo zwiększając czas spaceru, aż do dwóch, trzech godzin. Oczywiście, w dnie ciepłe, przechadzka może trwać bez ograniczenia. Im dłużej — tem lepiej. Jako minimum, należy przyjąć dwie godziny. Dziecko, które już od pewnego czasu wychodzi na świeże powietrze, dobrze zniesie nawet „złą pogodę", to jest deszcz, lub niezbyt silny wiatr. Należy tylko wtedy skrócić czas pobytu na dworze o połowę.

Unikanie spaceru w gorszą pogodę, prowadzi do wydelikacenia dzieci i do wrażliwości na przeziębienie. Odwrotnie, przyzwyczajenie do przechadzki podczas każdej pogody — hartuje dzieci. Zimą wyprowadzamy dzieci przy bezwietrznej pogodzie, o temperaturze do 5 stopni mrozu włącznie. Oczywiście na krótko. Przypominam, że mowa tu, jak zresztą w całym artykule, o dzieciach w wieku do lat dwóch.

Najodpowiedniejszą porą dla spaceru są godziny przedpołudniowe. Jeśli jednak jest to niemożliwem, ze względu na rozkład pracy matki, a nie może jej nikt przy dziecku zastąpić, to lepiej jest wyjść z maleństwem po południu, lub pod wieczór, niż zrezygnować wogóle z przechadzki.

O sprawie przebywania dzieci na słońcu, napiszemy oddzielnie, ponieważ wymaga to szerszego omówienia. Tutaj nadmienimy tylko krótko, dla całokształtu, że do wieku sześciu miesięcy, należy unikać naświetlania dzieci słońcem. Najodpowiedniejszem miejscem dla spacerów są ogrody, lub aleje zadrzewione. Ale niech matki nie rezygnują z przechadzek, „bo do ogrodu tak daleko, a na ulicy kurz...". Lepiej wyprowadzić malca na ulicę, niż trzymać go w mieszkaniu, a nawet i na balkonie można dziecku urządzić „spacer".

Pozostaje jeszcze sprawa ubrania.

Trudno wyliczać poszczególne części garderoby dla każdego wieku dziecka. Jedno reaguje silniej na chłody, inne — słabiej. Jedna zasada obowiązuje w każdym razie: dziecko nie powinno powracać do domu przegrzane, spocone, ani też odwrotnie, nie powinno mieć zimnych nóżek. Kilkorazowe zbadanie dokładne dziecka po spacerze, wystarcza dla zorjentowania się, czyśmy go zbyt ciepło nie ubrały, czy też odwrotnie, co rzadziej się zdarza, czy małemu nie było zimno. Latem i w dni upalne, należy dziecko ubierać w bawełniane koszulki i kaftaniki a przykrywać je lekką kołderką, nie zapominając o tem, że dziecko jest wywożone przeważnie w wózeczku, który ma ściany z ceraty lub skóry, jest w nim więc znacznie goręcej dziecku, niż nam, idącym obok, pieszo.

Zimą ubieramy dzieci w wełniane kaftaniki i czapeczki, trzymamy je w poduszce (spód z trawy morskiej, wierzch z pierza). Na to kładziemy ciepłą kołderkę.



Niedostateczne przebywanie dzieci na świeżem powietrzu, powoduje cały szereg chorób, jak krzywica, a w każdym razie powoduje skłonność do zaziębień, chorób zakaźnych i tp.

Powietrze jest potężnym czynnikiem, umożliwiającym prawidłowy rozwój dziecka, należy więc kwestję spacerów traktować równie poważnie jak sprawę odżywiania.

Dr. F. K.

Szafa-spiżarnia z dopływem powietrza

Zarówno gospodyni, jak i kobieta pracująca zawodowo — odczuwa brak spiżarni w domu, jako wielkie utrudnienie w prowadzeniu gospodarstwa. Równa się to stracie czasu, spowodowanej koniecznością przynoszenia codzień zapasów żywności w małej ilości, a także uszczerbkowi na wadze, wywołanym opakowaniem drobnej ilości towaru i niedogodności w płaceniu. Słowem—ten sposób załatwiania spraw gospodarczych okazuje się wysoce niepraktyczny. Wszystkim tym brakom usiłuje zapobiec szafa do zapasów, skonstruowana tak, aby mogła mieć stały dopływ powietrza. Na małej przestrzeni gromadzi ona wszystkie urządzenia, potrzebne do przechowywania kartofli, jarzyn, owoców, mięsa, tłuszczu, napojów i konserw i suchych zapasów. Przewiewna, dająca się wyciągać skrzynka do kartofli, obejmuje ⅔ centnara ziemniaków. Osypujący się piasek pochwytuje, specjalnie do tego przygotowana płyta blaszana. Obok można ustawić 6 — 8 butelek.

Zapasy jarzyn i owoców, które można przechować w szafie, odpowiadają mniej-więcej tygodniowemu zapotrzebowaniu rodziny, złożonej z 4 osób, tak, że korzystne okazje kupna na rynku, w dnie targowe, mogą być zrealizowane bez przeszkody. Deska ruchoma, wyłożona linoleum, ułatwia wyjmowanie i magazynowanie zapasów żywności. Na mięso i tłuszcz przewidziana jest łatwo dająca się oczyścić emaljowana skrzynka. Do innych zapasów są półki. W powale wkręcone są haki, a także i wewnętrzna strona drzwi może służyć do zawieszenia siatkowego koszyka z cebulą, czy innemi zapasami.

Szafa nie powoduje kosztów nabywania lodu, użytkowania gazu czy prądu elektrycznego. Dopływ powietrza następuje przez rurę, przy pomocy której łączy się szafę przez wentylator albo komin ze świeżem powietrzem ulicy.



Nowa placówka kobieca

Musimy przyzwyczaić się do myśli, iż w ogólnem dzisiejszem przewartościowaniu pojęć dawniejszych, pojęcie o pracy gospodyni domu również uległo zmianie.

Nie wolno już dziś twierdzić, że prowadzenie gospodarstwa i wszelkie związane z tem zajęcia stoją poniżej przeciętnej wśród innych prac w najrozmaitszych zakresach.

Większość gospodarstw zarówno miejskich jak wiejskich, liczy się poważnie z budżetem, a matka rodziny musi przeprowadzać długie kalkulacje i wyliczenia, aby sprostać swym obowiązkom.

Starsze gospodynie radzą sobie, oczywiście, łatwiej niż młode i niedoświadczone. Wyłania się tu jednak nowa trudność: w tamtych pokutuje często przekonanie, że gospodarować można tylko „z pełnego", jak za dobrych dawnych czasów, przyczem czują się pokrzywdzone i dotknięte, gdy im na ten rodzaj prowadzenia domu nie pozwalają dzisiejsze okoliczności — drugie — gospodynie młode, wychowane w zupełnie innych warunkach niż dawne, zajęte przed ślubem studjami, pracą zawodową, sportem, stają bezradne wobec nowego problemu, jakim jest dla nich prowadzenie własnego warsztatu pracy — gospodarstwa domowego. I ta, i ta potrzebuje więc rady i pomocy. Gdzież ją znajdzie? Kto jej dopomoże w rozwiązaniu kwestyj, które zdawałoby się, tak małe, stanowią jednak cząstkę ogólnego zagadnienia i zahaczają o najrozmaitsze gałęzie przemysłu i handlu?

Na zachodzie, zwłaszcza w Berlinie, Wiedniu i Budapeszcie, sprawę tę uregulowano, organizując specjalne poradnie, w których za małą opłatą można zasięgnąć rady w każdej dziedzinie życia gospodarczego.

Ogólna pauperyzacja szerokich rzesz w Polsce zrodziła i u nas konieczność zorganizowania podobnej instytucji. Powstała ona w Warszawie, Ś-to Krzyska 17, a załatwia też sprawy listownie i pod nazwą Ogólnej Poradni Gospodarczej, obejmuje następujące działy: gospodarczy, mody, mieszkaniowy, kosmetyczny, zawodo-



W poradni gospodarskiej.

wy, kultury fizycznej, ubezpieczeniowy oraz indywidualnych porad życiowych. Jest ona najbardziej odpowiedzialnem źródłem wskazówek i fachowej pomocy w każdej dziedzinie życia kobiety, posiada sepcjalistów w wymienionych działach, utrzymuje stosunki z odpowiedniemi placówkami przemysłowemi, handlowemi, wychowawczemi, prawniczemi, lekarskiemi i t. d., i dostępna jest dla wszystkich ze względu na groszową opłatę za porady.

Ogólna Poradnia Gospodarcza (O. P. G.) to nie przedsiębiorstwo handlowe, nie związek, w którym wyłącznie członkinie mogą korzystać z jego dobrodziejstw; jest to instytucja społeczna, przeznaczona dla szerokiego ogółu kobiet, dla pań niezrzeszonych, a pochodzących ze wszystkich sfer, które z całem zaufaniem mogą się zwracać do niej z każdym kłopotem czy niepewnością życiową zarówno materjalną, jak moralną. (Nie trzeba dodawać, że interesantka, prosząca Poradnię Indywidualną o rozwiązanie dręczących ją zagadnień, ma zapewnioną absolutną dyskrecję).

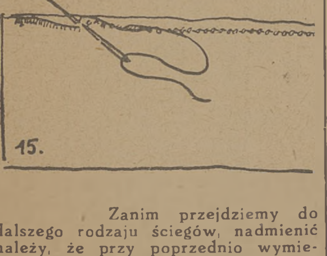
Najlepszym dowodem, że instytucja O. P. G. powinna była powstać, jest fakt, że stała wystawa ze wszystkich dziedzin, mieszcząca się w lokalu własnym, jest tłumnie odwiedzana, a kierownictwo, ulegając masowym prośbom, wprowadza już nowe działy swej pracy, jak np. zbiorowe kursy języków obcych.

Życzymy nowej placówce, aby znalazła należne jej zrozumienie i uznanie wśród jaknajszerszych mas kobiecych.

Zofja Petersowa.

Naprawiajmy.

Zeszywanie obrąbkiem, (rys. 15). Ścieg używany do łączenia bardzo cienkich materjałów, robi się zawsze bardzo wąziutki.



Zanim przejdziemy do dalszego rodzaju ściegów, nadmienić należy, że przy poprzednio wymienionych trzeba pamiętać, aby zarówno skończone, jak i zaczynane nitki, porządnie były ukryte i nie szpeciły lewej strony roboty wiszącemi końcami i sterczącemi supełkami (rys. 16). Po skończeniu nitki trzeba zacisnąć ją kilkoma ścisłemi ściegami i przeciągnąć naprzód paroma drobnemi ścieżkami, ucinając przy samej robocie. Przy zaczynaniu porządnej roboty, nie robi się nigdy supełków



ani w ręcznem szyciu, ani w reparacji, ale zapomocą kilku drobnych ściegów wtył, a następnie jednego ścisłego, przymocowuje nitkę. Przy obrębianiu i powrębianiu, nitki zaczynane i kończone wsuwa się pod obrębki i szwy. Supełków używa się jedynie do fastrygowania i obrzucania.

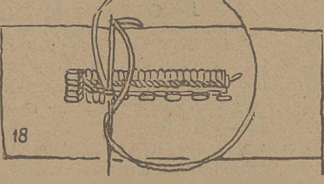
Fastrygowaniem (rys. 17) — nazywamy ścieg używany przy szykowaniu roboty. Wykonywa się go bardzo długiemi ściegami przed igłą, różniącemi się od normalnych tem, że zostawiamy materjału pod ściegiem przynajmniej cztery razy więcej, niż długość ściegu.



Obrzucaniem — zowiemy ścieg, wykonay wierzchem dla wykończenia dwóch szwów złożonych razem, lub po rozprasowaniu każdego zosobna. Robimy ten ścieg luźno, drobnemi, skośnemi ścieżkami w wąskich i cienkich, a większemi w grubych materjałach.

Dla wykonania go ujmujemy robotę między wielki a wskazujący palec lewej ręki i wkłuwamy igłę skośnie od tyłu do przodu szwa, nie przyciągając zbytnio nitki.

Obrębianie dziurek, (rys. 18) — wykonywa się zwykle na podwójnym, grubo położonym materjale, przeciętym bardzo prosto. Trzeba oznaczvć linję i długość dziurki niteczką i przeciąć bardzo ostremi nożyczkami. Przed rozpoczęciem obdziergiwania dziurki na dwie lub trzy nitki od brzegu, przeciąga się nitkę z obydwuch stron rozciętego materjału, aby uwypuklić dzierganke i utrwalić brzeg — zwłaszcza skośno przecięte dziurki, muszą być w taki sposób zabezpieczone od wyciągnięcia brzegu.



H. Z.

Jadłospis tygodniowy skromny

NIEDZIELA.

Rosół cielęcy z jarzynkami.
Cielęcina gotowana, zapiekana pod beszamelem — makaron włoski.
Sałatka z włoskiej kapusty (surówka).
Naleśniki z sokiem.

PONIEDZIAŁEK.

Zupa purée z fasoli — grzaneczki.
Cebulki faszerowane—kartofle przysmażane.
Borówki.

WTOREK.

Barszcz żytni (żur) — kartofle ze słoniną.
Kluseczki kładzione (parzone) z szynką.
Jabłka.

ŚRODA.

Zacierka na wodzie ze słoniną.
Kapusta włoska, duszona z boczkiem wędzonym.
Grzanki z powidłami.

CZWARTEK.

Kartoflanka na kościach wieprzowych.
Kotelty wieprzowe — sałata z kapusty kiszonej — purée z kartofli.
Kompot ze śliwek suszonych.

PIĄTEK.

Zupa grzybowa czysta z łazankami.
Kartofle duszone w śmietanie z grzybkami z zupy.
Krokietki z ryżu z sokiem

SOBOTA.

Krupnik.
Kotlety siekane wołowe z brukwią, albo z marchewką.
Galaretka.

Przepisy kulinarne

BARSZCZ ŻYTNI.

Barszcz żytni przygotowuje się na podstawie mąki razowej żytniej, którą trzeba zalać ciepłą wodą przegotowaną i trzymać w cieple trzy doby. Taki barszcz jest doskonałą podstawą do przyrządzania smacznych zup, zarówno czystych, jak i zabielanych.

Czysty barszcz żytni przyrządza się rozcieńczając wodą, do smaku, kwas przecedzony przez gęste sitko. Po zagotowaniu barszczu, krasi go się przesmażoną słoniną, ze skwarkami.

Drugi sposób przyrządzania barszczu, to podanie go razem z kartoflami, które po obraniu należy pokrajać na ćwiartki, zalać niewielką ilością wody, dodać listek bobkowy, parę ziarn ziela angielskiego i pieprzu. Ugotować kartofle, poczem nie odlewać wody i doprawić do smaku żytnim kwasem. Okrasić słoniną, albo masłem z cebulką.

Doskonały jest też barszcz żytni, zabielany śmietaną. Robi go się przeważnie na wędzonce, kościach od szynki, albo poprostu na rosole, podając do niego oddzielnie kartofle tłuczone.

CIELĘCINA GOTOWANA POD BESZAMELEM.

Ugotować dowolną ilość mostka cielęcego. Po ugotowaniu, wyjąć kości, które dadzą się bardzo łatwo oddzielić, bez krajania mięsa na kawałki. Mięso, wyluzowane z kości podzielić na zgrabne, niewielkie kawałki, ułożyć na ogniotrwałym półmisku, otoczyć dokoła włoskim makaronem gotowanym, zalać beszamelem, skropić masłem, posypać tartym serem i zapiec w piecu na złoty kolor.

W ten sam sposób przygotowuje się cielęcinę pieczoną, jednakże używając gotowanej, zyskujemy smaczną, pożywną zupę.

SOS BESZAMELOWY.

Oszczędnościowy sos beszamelowy robi się z słodkiego mleka, nie ze śmietanki, jak to przeważine czytamy w przepisach.

Czubatą łyżkę masła świeżego roztopić na wolnym ogniu, wsypać czubatą łyżkę mąki pszennej, raz zasmażyć, rozprowadzić słodkiem mlekiem, dodając go tyle, aby sos był gęsty. Zagotować, mieszając. Dodać całą, albo pół kostki buljonu, soli do smaku. Jedno żółtko rozprowadzić odrobiną mleka słodkiego. Po zagotowaniu sosu, zdjąć go z ognia, wlać żółtko, wymieszać. Jeżeli nie chodzi o to, aby sos był w całem tego słowa znaczeniu oszczędnościowy, można wziąć pół na pół mleka i śmietanki, albo mleka i bardzo młodej, wyborowej kwaśnej śmietany. Jeżeli bierzemy mleko i śmietanę, trzeba je przed zagotowaniem lekko osolić — inaczej zetną się w gotowaniu.

Na podniesienie smaku sosu beszamelowego, wpływa dodanie do niego tartego sera szwajcarskiego.

CEBULKI FASZEROWANE.

Wybrać niewielkie cebule cukrowe, jednakowej wielkości, obrać z wierzchniej skórki, przyciąć wierzchy, ogotować w obfitej wodzie tak, aby się dały łatwo dzielić. Wyjąć obgotowane cebule na durszlak, osączyć, wystudzić i podzielić, wysuwając środki.

W środku każdej cebuli zostanie próżnia, którą wypełniamy farszem.

Na farsz najlepiej wziąć mięsa wieprzowego od szynki. Na kościach i skórce ugotujemy smak na zupę. Mięso trzeba zemleć na maszynce. Namoczyć bułkę, odcisnąć. Rozetrzeć trochę masła na pianę, dodając żółtko, albo całe jajko, zależnie od ilości przygotowywanego farszu, ucierać dodając bułkę, a gdy wytworzy się gładka, pulchna masa, wyrobić ją wraz z mięsem mielonem. Dodać soli i pieprzu do smaku, trochę siekanej zieleninki. Napełnić tym farszem cebulki, ustawić je w płaskim rondlu, poddając trochę masła i kilka łyżek rosołu. Dusić na wolnym ogniu pod przykryciem około godziny. Na wydaniu zaprawić sos mąką przesmażoną z masłem i doprawić do smaku solą i odrobiną cukru. Posypać powierzchu siekaną zieleninką.

KLUSECZKI KŁADZIONE PARZONE Z SZYNKĄ.

Sposób przyrządzania kluseczek kładzionych parzonych znajdą panie w Nr. 4 „Tygodnika Kobiety". Chcąc nadać im charakter samoistnego dania, wystarczy dodać do surowego ciasta trochę drobnokrajanej szynki gotowanej (można kupić tanio w składzie wędlin tak zwanych „okrawków" od szynki, których używamy zwykle do makaronu z szynką). Kluseczki gotuje się pod przykryciem, do chwili spłynięcia wszystkich na wierzch, poczem osącza na durszlaku i podaje okraszone masłem z cebulką.

PLACKI Z SUROWYCH KARTOFLI.

Duże surowe kartofle obrać, wymyć czysto, utrzeć na tarce. Odcisnąć przez płótno nad miską, pozostawiając wodę, która odejdzie dłuższą chwilę, aby krochmal opadł na dno. Zlać ostrożnie wodę, krochmal dodać do kartofli, sparzyć niewielką ilością wrzącego mleka, nie rozrzedzając zbytnio. Wymieszać. Dodać na 3 kg. kartofli 1 surowe jajko, 1 łyżkę mąki. Posolić, wyrobić łyżką drewnianą. Smażyć na silnie rozgrzanym szmalcu, albo, jeżeli ktoś lubi to na oleju, cienkie placuszki, rumieniąc je z obydwóch stron. Podawać do stołu stopniowo, w czasie smażenia wprost z patelni. Przetrzymane, tracą chrupkość i smak.

GRZANKI Z POWIDŁAMI.

Obetrzeć długą, wczorajszą bułkę ze skórki, pokrajać na plasterki. Każdy plasterek umaczać w mleku, potem w surowem jajku i skrążać w tartej bułeczce. Usmażyć na rumiano na szmalcu. Pokryć każdą grzaneczkę warstwą powideł śliwkowych, ułożyć na ogniotrwałym półmisku, wstawić na chwilę przed wydaniem do gorącego pieca, posypując powierzchu cukrem pudrem.

KOMPOT ZE ŚLIWEK SUSZONYCH.

Kompot ze śliwek suszonych wygląda nieestetycznie, jeżeli owoce pływają w mętnym soku. Aby temu zapobiec, należy śliwki wymyć w zimnej wodzie, osączyć, poczem włożyć na salaterkę i zalać wrzącą wodą. Znów osączyć i dopiero ugotować w lekkim syropie, dodając dla podniesienia smaku trochę skórki cytrynowej, albo pomarańczowej.

KROKIETY Z RYŻU Z SOKIEM.

Proporcja: 15 dk. ryżu, mleko, cukier, kawałek wanilji, skórka pomarańczowa, łyżeczka masła, 3 żółtka. Jajko i bułka tarta, masło do usmażenia.

Ugotować ryż na mleku, dodając cukier i wanilję. Ugotowany wyjąć na półmisek, wystudzić. Dodać łyżeczkę masła, żółtka, wymieszać razem. Formować zręczne niewielkie krokietki, w formie wałeczków. Maczać w rozbitem jajku, skrążyć w tartej bułeczce. Smażyć na obfitem maśle, albo szmalcu. Oddzielnie podać sok, lub konfitury.

Melba.

Opis modeli

(druga str. okładki)

1. Photo Georges Saad. Płaszcz czarny, przybrany karakułami.
2. Photo Paramount. Suknia z materjału, przerabianego złotem.
3. Photo Georges Saad. Kapelusz czarny, przybrany jedwabnemi pomponami. Model Martin.
4. Suknia aksamitna, przybrana strojnemi guzikami.

Na 1-ej str. okładki Photo Paramount.

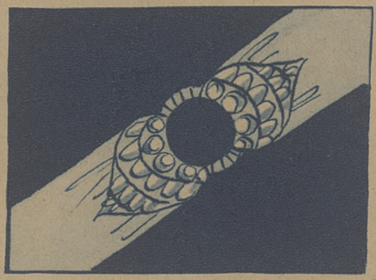
Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: za 1 wiersz szerokości 1 szpalty w reklamach 50 gr. w tekście 75 gr., specjalne zł 1 gr. 20; wszystkie strony ogłoszeniowe mają 5 szpalt. Ogłoszenia drobne 20 gr. za słowo.

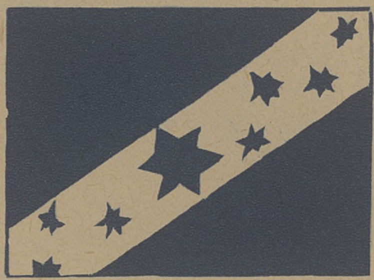
Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3, tel. 644-69

PASKI OZDOBNE DO STROJNYCH SUKIEN.





30. SUKNIA WIECZOROWA Z CREPE SATIN. NA POPOŁUDNIU MOŻNA WŁOŻYĆ POD STANIK BLUZKĘ Z PLISOWANEJ ŻORŻETY PRZYBRANĄ AKSAMITKĄ.





31. SUKNIA WIECZOROWA Z LEKKIEGO JEDWABIU. NA POPOŁUDNIU KŁADZIE SIĘ NA WIERZCH STANICZEK Z BUFKAMI.



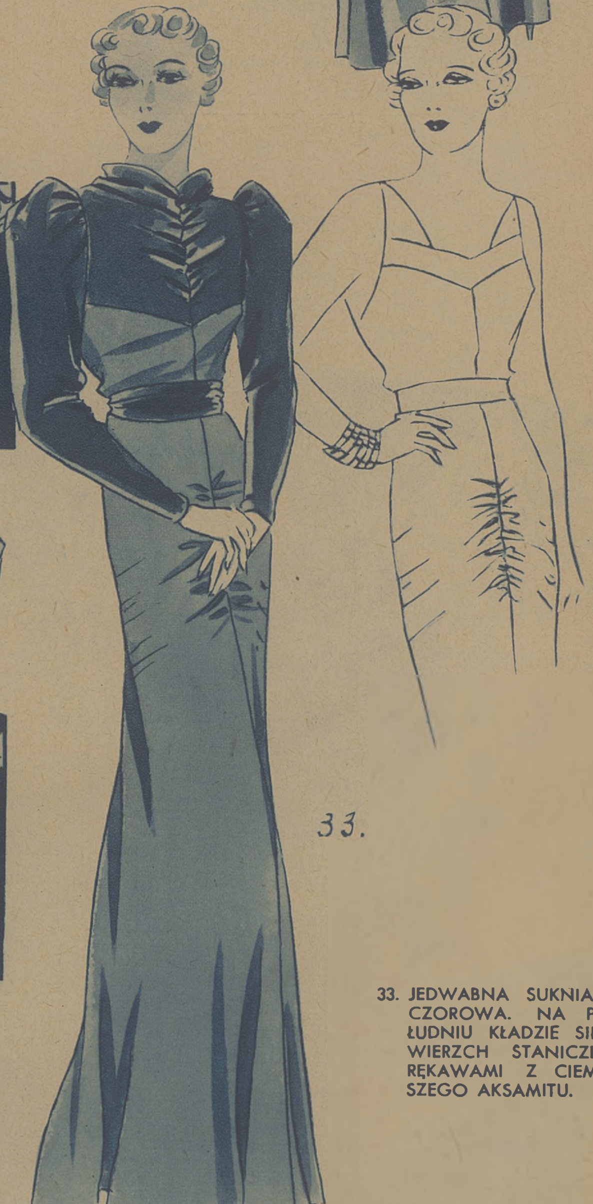


32. SUKNIA WIECZOROWA DOPEŁNIONA NA POPOŁUDNIOWY UŻYTEK LUŹNEMI RĘKAWAMI KŁADZIONEMI ODDZIELNIE.

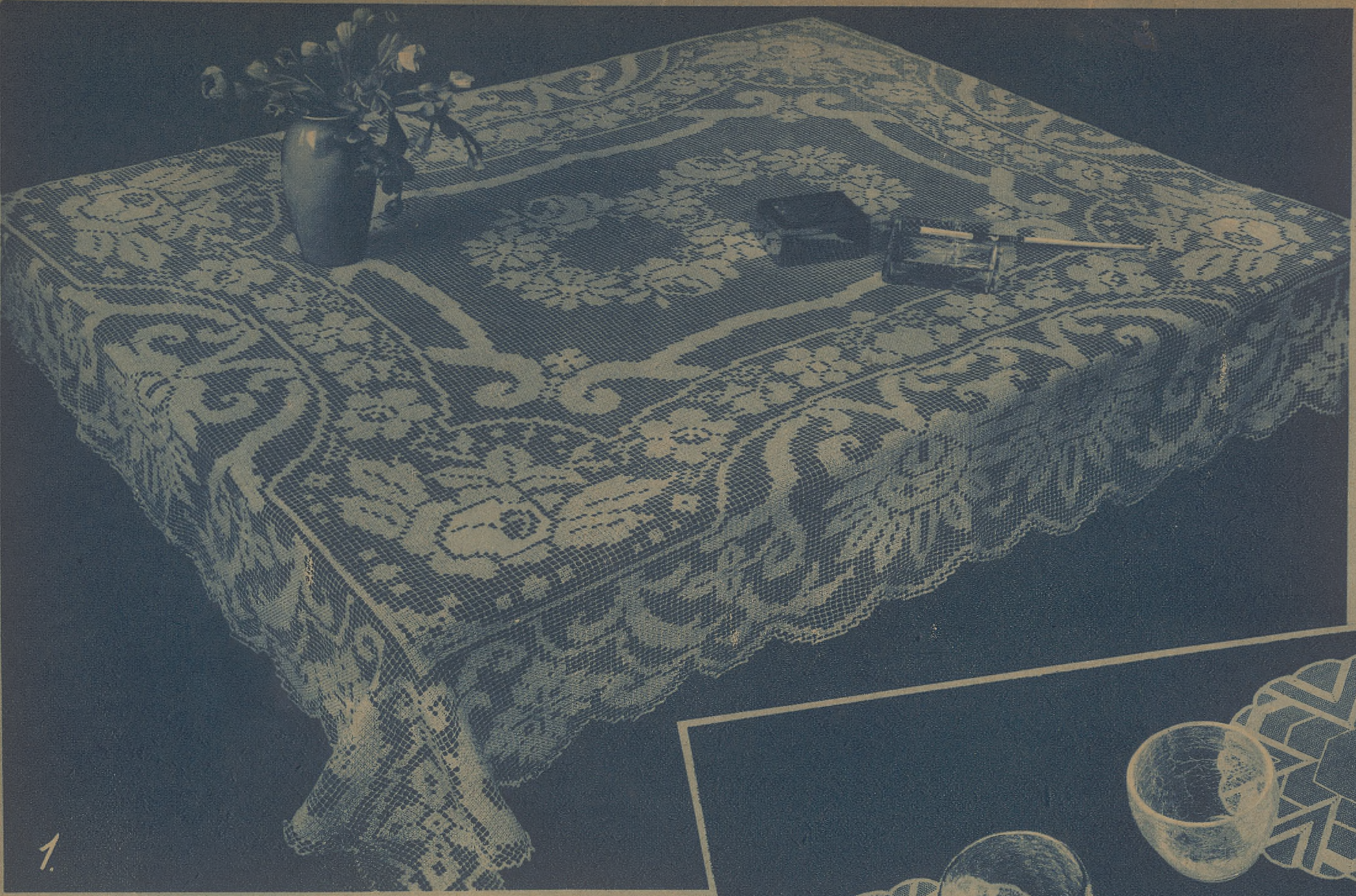




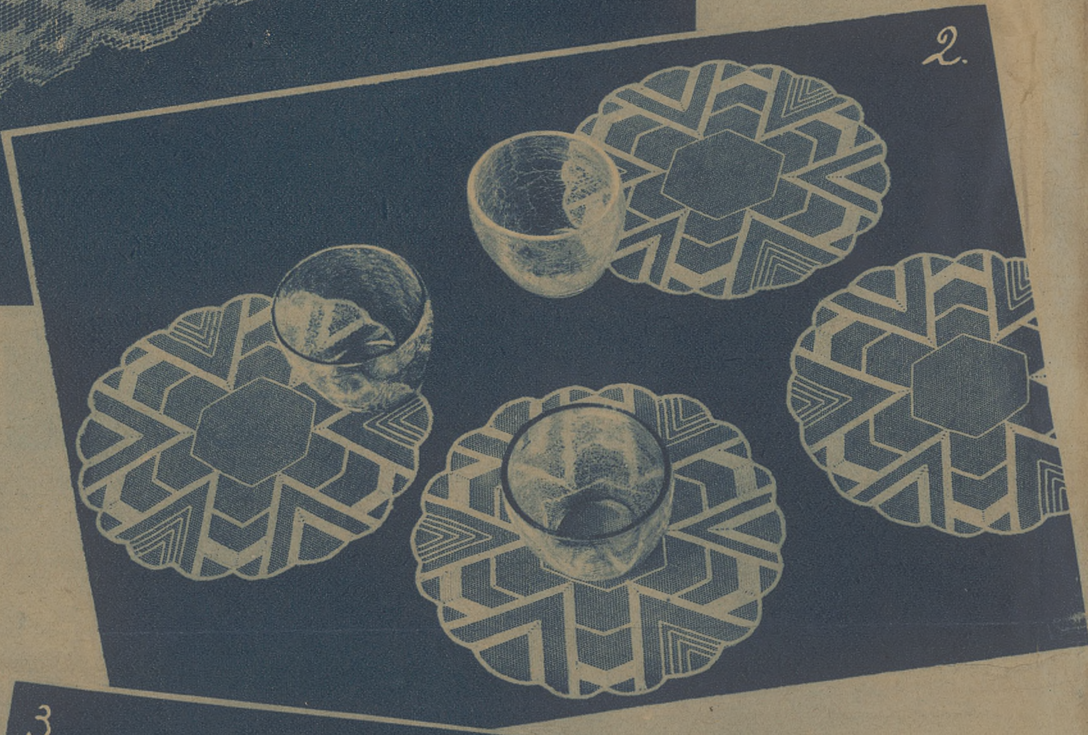




33. JEDWABNA SUKNIA WIECZOROWA. NA POPOŁUDNIU KŁADZIE SIĘ NA WIERZCH STANICZEK Z RĘKAWAMI Z CIEMNIEJSZEGO AKSAMITU.



1. SERWETA SIATKOWA KWADRATOWA, BOGATO POSZYWANA W DESEŃ KWIATOWY.



2. SERWETKI OKRĄGŁE DO NAKRYCIA PODWIECZORKOWEGO — POSZYWANE NA TIULU JASNO PIASKOWYM.
3. PIĘĆ CHUSTECZEK Z OPALU LUB LNIANEGO BATYSTU. BRZEGI OBROBIONE SZYDEŁKIEM. MOTYW SZYDEŁKOWY.
4. SLINIACZEK SIATKOWY PODSZYTY KOLOROWYM BATYSTEM LUB JEDWABIEM DO PRANIA.

